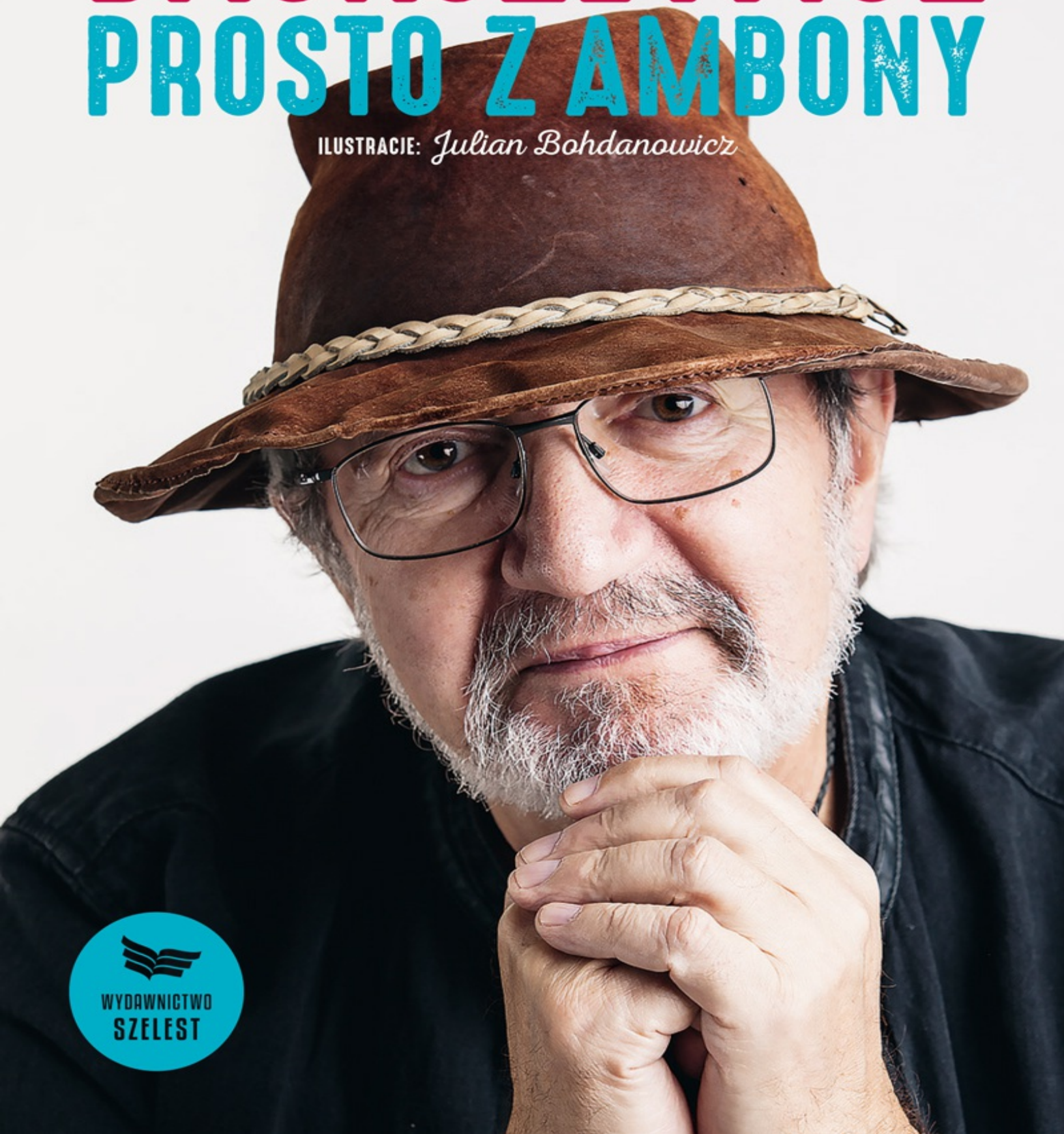


KRZYSZTOF
DAUKSZEWICZ
PROSTO Z AMBONY

ILUSTRACIE: *Julian Bohdanowicz*



KRZYSZTOF
DAUKSZEWICZ
PROSTO Z AMBONY

ILUSTRACIE: *Julian Bohdanowicz*



WARSZAWA 2016

Spis treści

Karta redakcyjna

Ambona na skraju miasta

Pan Hubert

Wiśniowy sad

Łono natury

Życie w stadzie

Siad!

Halucynacje

Po zmierzchu

Borowik

Strach

Wabik

Razem

Szumi dokoła las

Hej, idę w las, piórko mi się migoce

Zakupower

Dwie prędkości

Bez prądu

Koteczek

Lis i zając

Muchy i ludzie

Szare życie szaraka

Święci i kabalarze

Sam w lesie
Zielono im
Wstęgą szos
Bez pudła
Cokół
Sposób na lisa
Bez lufy
Waham się
Droga i las
Moje psy
Podwójne życie kota
Na grzybach
Na skrótach
Pająki
Niemożliwe jest możliwe
Bez dubeltówki
2000
Rozum na oparach
Wykształciuch
Cud-miód
Smaczny konik
Na kongresie
Psy, żurawie i kojoty
Rude koty
Już wiem
Bezpiecznego zajączka
Julian
Mowa zwierząt
Krwiożercze kleszcze

Rysunki: JULIAN BOHDANOWICZ
Fotografia na okładce: ADAM KOZAK
Projekt graficzny okładki i skład: ŁUKASZ SULIMOWSKI
Korekta: BEATA GORGOŃ-BOREK, GRAŻYNA KWIEK

Copyright © Krzysztof Daukszewicz
Copyright © illustrations Rafał Bohdanowicz
Copyright © for this edition Wydawnictwo Szelest sp. z o.o. 2016

All rights reserved.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być wykorzystana w jakikolwiek sposób bez pisemnego zezwolenia właścicieli praw.

Warszawa 2016
Wydanie I

ISBN 978-83-65381-07-1

Wydawnictwo Szelest
e-mail: halo@wydawnictwoszelest.pl
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoszelest.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

AMBONA NA SKRAJU MIASTA

Pewnie podejrzewacie, że tu będzie coś na temat Ojca Dyrektora. Otóż nie, do polityki od pewnego czasu mnie nie ciągnie. Tym razem piszę z Chorwacji, która jest krajem obrzydliwie pięknym i nawet wojna nie potrafiła go zniszczyć. Nie dość, że jest krajem cudownym, to i fantastycznie życzliwym dla tych, którzy go odwiedzają. Kiedy idę do sklepu, ludzie, wszyscy bez wyjątku, mówią mi: „Dobry deń”, uśmiechając się przy tym przyjaźnie, i wtedy przypominam sobie natychmiast nasze windy w blokach i biurowcach, pełne osobników patrzących tępo w ściany naprzeciwko podczas jazdy w górę albo w dół.

Pomysł na „Ambonę na skraju miasta” narodził się dzięki pewnemu osobnikowi, który żyje tu pod miastem Umag. Jest to dzik o imieniu Goran, który nas wita, kiedy idziemy do sklepu po mleko, chleb, sery, wino i piwo. Ten dziki, zazwyczaj groźny dla otoczenia zwierz wychodzi za każdym razem z krzaków i swoim językiem tłumaczy: „Dajcie mi na kieł, bo jestem głodny” albo „Cześć, przekąsiłbym coś”.

Wygląda na to, że jest to jeszcze jeden jegomość, który wykombinował, że łatwizna popłaca. Jeszcze jeden, który skumał, że tak naprawdę to nie trzeba ryć w ziemi przez cały dzień, żeby wygrzebać garść pędraków lub trochę korzonków. On już wie, że „daj” oznacza najczęściej „masz”.

W Indiach, w jakimś stanie, którego nazwy nie zapamiętałam, żyje słoń, który mniej więcej raz dziennie wychodzi z lasu na autostradę, tamuje ruch i machając trąbą, mówi po swojemu: „Dajcie mi natychmiast coś w tę trąbę,

bo inaczej rozdepczę wam samochody”. Mało tego, podobno tak się wycwanił, że podchodzi tylko do aut lepiej utrzymanych i dobrych marek, jakby czuł, że ich właścicielom będzie bardziej szkoda limuzyny niż kilograma bananów.

Słoń się nauczył, że można przeżyć w tym nie do końca rozumianym przez niego świecie, tak jak dzik pod miastem Umag. Tak jak jelenie pod Zakopanem. Tak jak wszechobecne już lisy, które penetrują śmietniki, a niektóre nauczyły się nawet podnosić klapę, żeby sprawdzić, co jest w środku.

Kuna na naszym osiedlu została alkoholiczką, bo zauważyła, że płyn do spryskiwaczy potrafi dać niezłego kopa, więc w ciągu paru dni załatwiła kilkanaście zbiorniczków, póki nie znaleziono jej śpiącej, nawalonej, pod autem.

Zwierzęta, które uruchomiły rozum dla własnej wygody, powoli przenoszą się do miast. Jeszcze nie do naszych kuchni, ale już idą w tę stronę. To, że tu jest łatwiej, przekażą swoim małym i te już zapukają do naszych drzwi. I wtedy trzeba będzie ustawić ambony na skraju miasta. A dzik Goran posiadał jeszcze jedną umiejętność: na widok policjanta albo radiowozu przepada na kilka godzin.

PAŹDZIERNIK 2007

CO SIĘ DZIWI SZ.
KAŻDY CHCE ZAROBIC.



PAN HUBERT

Wybrałem się kilka dni temu do lasu, żeby nazbierać trochę kurek na poranną jajeczniczkę posypaną dodatkowo świeżym szczypiorkiem. Była cudowna, słoneczna pogoda i przede wszystkim rześkie, usypiające pięknie po powrocie do domu powietrze. No i wypędziła mnie z chaty rzecz, jak sądzę, najważniejsza – kompletny brak ludzi, którym o tej porze roku już nie opłaca się wchodzić do lasu.

Daleko za sobą zostawiłem drogi, po których poruszają się rodacy we wszystkich możliwych kierunkach, i ci w wypasionych furach, i ci, którzy kupili takie za pięćset złotych, byle tylko jechać. Idę więc sobie powoli, delektując się ciszą i powietrzem, kiedy nagle widzę wyłaniającego się zza kępy jałowców dziwnego myśliwego.

– Hubert jestem – powiedział, podchodząc do mnie. Był elegancko ubrany, w strój najwyraźniej uroczysty, ze starannie wypolerowanymi srebrnymi guzikami, z ciemnozielonym kapelusikiem na głowie, piękną sygnałoweczką na piersi i z równie wytworną piersióweczką w rękach, tak potrzebną do odtrąbienia polowania. Przez ramię przewieszona była fuzyjka cudownie inkrustowana, tak że elegancja aż biła w oczy.

Hubertowi, ale nie tylko jemu, bo i wszystkim pozostałym myśliwym, zazdrozczę zawsze niewielkiej ilości sprzętu, jaki jest potrzebny na zasiadkę w lesie czy na ambonie, który nie przygina do ziemi – w odróżnieniu od tego, co ja muszę zabrać, jadąc na ryby: od kilku kilogramów gum i blach poczynając, na akumulatorze i silniku do łodzi kończąc. A tu proszę – pan

Hubert: dubeltóweczka taka na oko czterokilogramowa, trochę naboju na pasie i piersióweczka taka mniej więcej trzysta pięćdziesiąt gram.

– Miło mi, panie Hubercie – rzekłem – poznać pana osobiście. Czy to obchód lasu pan zaplanowałeś, czy jakieś drobniutkie polowanko, czy może zgubiłeś się w tej jałowców gęstwinie? – Nie wiem, dlaczego zwróciłem się do niego, używając tak archaicznego języka, o którym nawet nie wiedziałem, że go znam, ale nieprzemożenie ciągnęło mnie do tego, żeby go tu używać.

– Ja zabłądzić nie mogę, niekumaty grzybiarzu – odpowiedział z gracją – bom jest wszak patronem wszystkich w lasach myśliwych.

– Nie poznałem Was, Panie – odrzekłem, kłaniając się jak przed królem francuskim i głowę pochylając tak nisko, jak mi pozwalały na to zastałe od ciągłego patrzenia w spławiki kręgi szyjne.

– Bardzo mi jest miło, ale wszak sądziłem, że Waść... sądziłem, że Waść – podjąłem wątek – raczej konno i ze świtą przemierzasz knieje i bory nasze, w zwierza obfitujące, głosząc tą oto przepiękną sygnałóweczką czas Twojego, Panie, święta.

– Widzisz, Waszmość – walnął we mnie tak, że aż mnie przygięło. Przygięło, bo do tej pory kumple i przyjaciele mówili do mnie tylko: „Cześć, Krzychu”, a władze najczęściej „Spieprzaj, dziadu”. Zwrot „Waszmość” spowodował, że wyszlachetniałem w jednej chwili.

– Widzisz, Waszmość, na święto Hubertusa, którego jestem patronem, podążam, ale już nie konno, ponieważ... – Tu głos zawiesił i dyskretną łzę uрониł.

– Ponieważ co, Wasza Wysokość? – wypaliłem natychmiast, pamiętając, jak się zwracano do księcia Radziwiłła.

– Policja każe dmuchać w alkomat każdemu, nawet i tym na koniach, więc jak powiadają moje wnuki, wolę z kaptura i z gwinta. A acan jak łyka?

– Jak król rozkaże, tak i łyknę!!! – walnąłem w niego tak, że aż echo poniosło po lesie ...król ...król ...król, tak że i drzewa na wszelki wypadek pochylły się w ukłonie.

– Jak śrut wydlubiesz, to mozem i z gilzy toast wznieść.

– Wydłubię, Wasza Cesarska Mość – przypomniałem sobie, jak się do Napoleona Bonaparte zwracano.

– Chrzanić te wszystkie mości – powiedział po trzeciej już gilzie. – Mów mi Hubert. Lepiej, żebyśmy walnęli jeszcze po jednym i poszli do leśniczówki na grilla.

Walnęliśmy i poszliśmy. Tyle że za cholere nie pamiętam już drogi do niej i jak potem trafiłem do domu – i dlaczego ze słoikiem grzybów. Gdyby się jednak okazało, że Hubert, przepraszam, święty Hubert, przepraszam, Jego Wysokość, jakimś dziwnym trafem nie dotarł na obchody albo dotarł mocno nadwyreżon, to tym razem nie miejcie pretensji do mnie.

LISTOPAD 2007



WIŚNIOWY SAD

Wiosna powoduje, że stajemy się odrobinę bardziej romantyczni, przyroda zauważalna, a seks bardziej w modzie. Taka to pora.

Jakiś czas temu jedna była pani poseł, z partii, której już nie pamiętam, ale brzmiała jak seksobrona albo coś w tym guście, na pytanie dziennikarza „Czy pamięta pani jakieś szczególnie romantyczne chwile ze swego życia?” odpowiedziała: – Tak, pamiętam. Kiedy byłam młoda, chodziliśmy z mężem na pole, trzymając się za ręce, potem kładliśmy się na buraki i patrzyliśmy w niebo.

Leżał ktoś z was kiedyś na burakach? To jest tak, jakby sobie samemu postawić bańki na plecach i potem się na nich położyć. Ale jak to mówią teraz: jakie czasy, taki romantyzm.

Wspominam o tym, ponieważ w długi majowy weekend wybrałem się na Mazury i postanowiłem odwiedzić las, w którym najchętniej lubię przebywać. Co mnie podkusiło, żeby wchodzić do lasu w czasie, kiedy połowa Polski siedzi pod drzewami, tego nie wiem. Pewnie wiara w to, że w moje miejsce nie trafią, choć jak się przekonałem, nie była to wiara uzasadniona. Kiedy tak włóczyłem się wśród brzoź odzyskujących listki, mijając dziesiątki samochodów – ponieważ turyści długoweekendowi najchętniej spacerują po lesie samochodami, i to tak nawoskowanymi, że patrząc na ten blask, odniosłem wrażenie, że nawet kleszcze pochowały się w trawach, przestraszone hukami starych aut i nowiuteńkich quadów.

Przytuliłem się do brzozy, żeby pobrać z niej energię i odcedzić trochę życiodajnych soków, bo wyczytałem, że tak właśnie trzeba robić z brzozami,

a wyczytałem to w książce napisanej przez jakiegoś faceta, który nie miał się do kogo przytulać, więc wykombinował, że i z drzewem będzie mu dobrze. Kiedy wreszcie wyszedłem z lasu, strząsając z siebie odłamki kory, trafiłem prosto na kwitnący, wiśniowy sad, w cieniu którego odpoczywał w trawie strudzony smakosz win owocowych, półsłodkich. Na mój widok dźwignął się z ziemi, która mu wyraźnie ciążyła, ukłonił się tak nisko, jak pozwalała mu tego dnia grawitacja, i odezwał się do mnie mocno zniszczonym przez borygo głosem:

– Kierowniku, brakuje mnie pięćdziesięciu groszy, żeby nabyć flaszkę naszego regionalnego eliksiru, który pozwolił przetrwać mi do wiosny, czyli – mówiąc językiem moich braci – brakuje mi na mózgotrzepa lub gleborzuta, czy nawet – jak powiadają umiłowani członkowie naszej społeczności – na mózgojeba.

– A dlaczego pan do mnie mówi: „kierowniku”?

– Bo „dyrektorze” mówię za złotóweczkę – odpowiedział z nieukrywaną szczerością.

Będąc wzruszony i pod wrażeniem tego kwiecistego języka, którego nie spodziewałem się usłyszeć w tym miejscu, i – nie ukrywam – uradowany, że spotkałem kogoś, kto tak ciężko, ale próbował chodzić na swoich niepewnych nogach, otworzyłem portmonetkę, wyjąłem z niej dwa złote i wręczyłem z należytytym temu obywatelowi szacunkiem. I wtedy usłyszałem:

– Dziękuję, prezesie.

Przyznacie, że nie była to wygórowana cena za ten najszybszy w moim życiu awans na skraju lasu, w wiśniowym sadzie.

CZERWIEC 2008



ŁONO NATURY

Wybrałem się kilka dni temu na spacer po lesie. Pogoda w sam raz, plus dwadzieścia dwa stopnie. To znaczy w sam raz dla mnie i tych wszystkich, którzy urodzili się przed odwilżą ideologiczną i doskonale pamiętają czasy sprzed ocieplenia klimatu, kiedy to temperatura powyżej dwudziestu trzech stopni zwiastowała afrykańskie upały.

Dla moich małolatów i małolatów moich znajomych i sąsiadów oraz mojej ukochanej, kiedy na przydomowym termometrze jest poniżej dwudziestu dwóch stopni Celsjusza, oznacza to, że w środku lata przyszła zima. To właśnie wtedy dochodzi do takich przypadków, z jakimi zderzył się mój kolega, który mieszka na Śląsku. Otóż zamówił sobie przez internet wczasy nad morzem. Człowiek mieszkający koło Chorzowa dostał skierowanie do ośrodka, w którym otrzymał pokój z widokiem na kotłownię, a to, co go mamiło do wczasów nad wodą, też nie okazało się morzem, tylko pocztówką z Chorwacji. Morze Bałtyckie było półtora kilometra od miejsca zakwaterowania, więc mimo wszystko wybrał się posłuchać szumu fal i poszukać złotej plaży pośród drzew, po której biega pies z „Głosem Wybrzeża” w pysku. Niestety, w tym miejscu nie było nawet ptaków, a tylko mały chłopczyk, który za pomocą nogi postanowił zbudować pałac z piasku. Będąc człowiekiem dobrotliwym, czyli takim, który nie chce oderwać Śląska od reszty kraju, spytał malucha:

- Pomóc ci w budowaniu zamku na piasku?
- Ale nie jest pan pedofilem?
- Nie.

– Czyli jak się zgodzę, to cukierka nie dostanę?

– Nie.

– To żadna pomoc nie jest mi potrzebna.

– A dlaczego?

– Bo pływać nie umiem, a sikać mi się nie chce. I mama mówiła, żebym uważał, bo jest zimno, ledwo plus dwadzieścia.

Idę więc po tym lesie, rozmyślam o przygodzie mojego Ślązaka i nagle widzę, że z naprzeciwka wyłania się mój znajomy leśniczy ze zgrabną fuzyjką na plecach i niedużym, czarnym, plastikowym workiem.

– Zając czy lis?

– Jaki tam zając?! I jaki tam lis?! – usłyszałem w odpowiedzi. – Śmieci! Niosę śmieci! Szedłem tylko skrajem lasu i tyle tego nazbierałem. Nie mogę patrzeć na te puszki po piwie i te prezerwatywy o smaku owoców leśnych! – Tu splunął tak, jakby wiedział, jak te owoce smakują!

– A czego jest więcej?

– Jak to czego?

– Puszek czy prezerwatyw?!

– Z tego, co widzę – spojrzał w głąb worka – to więcej piją.

– Znaczą, mniej się kochają. I jaki z tego wniosek?

– ...że nikt nie zarobi na nasze emerytury – westchnął leśniczy.

– I dużo pan tego zbiera, chodząc po lesie?

– Mniej niż jeszcze rok i dwa lata wcześniej.

– Czyli jednak kultura osobista premiera Tuska działa.

– Jaka tam kultura osobista. To otwarte granice do Europy. Swoboda podróży i taniocha. I napić się można wszędzie. Moja córka pojechała do Włoch. U nas obiad kosztuje pięćdziesiąt złotych, u nich piętnaście euro, czyli za mniej więcej tyle samo zjesz i w Olsztynie, i w Rzymie. Chyba że wezmą pana za nielegalnego emigranta, wtedy wlepią panu mandat i zabiorą kanapki, bo w miejscu historycznym nie można kruszyć. Taki podobno teraz przepis mają.

– Ale przecież nie wszyscy wyjeżdżają z kraju.

– To ci znaleźli łono natury w Biedronkach. A te są i w Szczytnie, i we Władysławowie, więc na wakacjach wszędzie się czują jak u siebie w domu. Wszędzie mają i śledzia po bałtycku, i kurki z Mazur, i jeszcze tanie trampki do chodzenia.

Pogadaliśmy parę minut jak starzy Polacy o władzy i tych, co nam się nie podobają, i ruszyłem przed siebie, zbierając do woreczka to, co leśniczy przeoczył.

I wędrując dalej rozjechanym przez quady duktem, myślałem, że być może prawdziwa jest historia zasłyszana ostatnio, o tym, jak to dwóch naszych obywateli, słynących z nieustającego degustowania win niemarkowych, dało sobie w sylwestra w szyję, tak że zaczęli trzeźwieć w okolicach Trzech Króli. Kiedy doszli do siebie ostatecznie, spostrzegli, że to nie jest ich okolica, bo jest mocno pofałdowana, a oni całe życie spędzili w terenie płaskim. I tak sobie idą i widzą za jednym pagórkiem wioseczkę, a pośrodku tej wioseczki sklep, a pod sklepem obywatela z twarzy podobnego do nich, bo też w kolorze atramentowym.

– Cześć, koleś! – mówią.

Na to ów kolega:

– Salute, compadre.

A na to jeden z naszych:

– I widzisz, Heniu, teraz już wiesz, co to jest, kurwa, Schengen.

SIERPIEŃ 2008



ŻYCIE W STADZIE

Ja nie wiem w szczególach, jak ono wygląda u zwierząt, ale podobno jest poukładane o wiele przejrzyściej, a nawet bym zaryzykował stwierdzenie, że i normalniej, niż u osobników dwunożnych, zamkniętych w czterech ścianach. Na polu, w lesie, na łąkach mniej więcej wiadomo, jak jest. Wyjdzie taki jeleni na polanę, zaryczy i słucha. Odezwie się jakiś konkurent czy nie?

Jeśli ciszy nikt nie zakłóci, to prychnie na swoje łanie skubiące trawę w cieniu drzew i ogłosi, kto nimi rządzi przez najbliższy rok.

W odpowiedzi żadna nie tupnie mu nóżką w ziemię, tylko z aprobatą pokiwa główką, nie przerywając jedzenia i ogłaszając, że jej głowa nie boli. Jeżeli jednak jakiś rywal zareaguje na ten godowy zew, wtedy jeleni naostrzy swoje poroże o najbliższe drzewo i pójdzie się z nim napażać, bo taki jest zew natury. Jak wygra, to znowu będzie mógł pójść ze swoimi paniami na kolację do najbliższego paśnika. Jeśli jednak przegra, to z tej zgryzoty prędzej czy później wlezie pod jakąś lufę albo, jeśli przeżyje, do następnej jesieni będzie miał wyłącznie sny erotyczne, o ile jelenie takie miewają.

Tak czy inaczej, jest to w miarę sprawiedliwe rozwiązanie. W naszym stadzie, jeżeli usłyszymy ryk, to najprawdopodobniej będą to kibole wracający z meczu, i nieważne, czy wygranego, czy przegranego, bo i tak ryczą tak samo. Albo jakiś nawalony wielbiciel Gołoty, który będzie chciał komuś spuścić łomot, żeby ktoś inny go podziwiał, jak tłucze gimnazjalistę, i kiedy wróci do domu, stanie przed nim taka dwa razy mniejsza od Pudziana, zatrzepocze rżęsami i albo zabandażuje mu kontuzjowaną pięść, albo ogłosi

ciche dni lub miesięczny post, żeby teraz chłopu głowa bolała. Wystarczy wtedy stanąć z boku, żeby zobaczyć, jak po chwili schodzi para z jego pięści. Tak jak w tej anegdocie, gdzie na drzwiach zakładu fryzjerskiego wisiała kartka z informacją: „Zamknięte na pół godziny – wyszedłem do baru”. A pod spodem dopisano: „Wróci za trzy minuty – jego żona”.

To jednak wcale tak nie musi być, czasami stado jest w porządku – mówię tu o dorosłych osobnikach. On idzie z przodu, ona udaje, że z tyłu, a obok podążają świeżo narodzeni, to znaczy rozwydrzone kilkulatki, z których jeden chce na lody, drugi do kiosku, żeby kupić komiks z Batmanem, a ten trzeci nie chce nic. I ten jest najgroźniejszy, bo nie wiadomo, co knuje, co jeszcze bardziej stresuje dorosłą parę, bo nie wiedzą, co ich może spotkać. I teraz, jeśli jesteś obserwatorem takiej wycieczki, to spróbuj odgadnąć, kto tu rządzi.

Mało tego, czasami może się okazać, że owe spanikowane dorosłe osobniki to bardzo znany pan pedagog z bardzo wybitną panią psycholog, którym własne dzieci nie przeszkadzają w tym, żeby świetnie doradzać innym. Ale jak mówi stare ludowe przysłowie: „To, co u ciebie ździebełkiem, u innych jest słupem”.

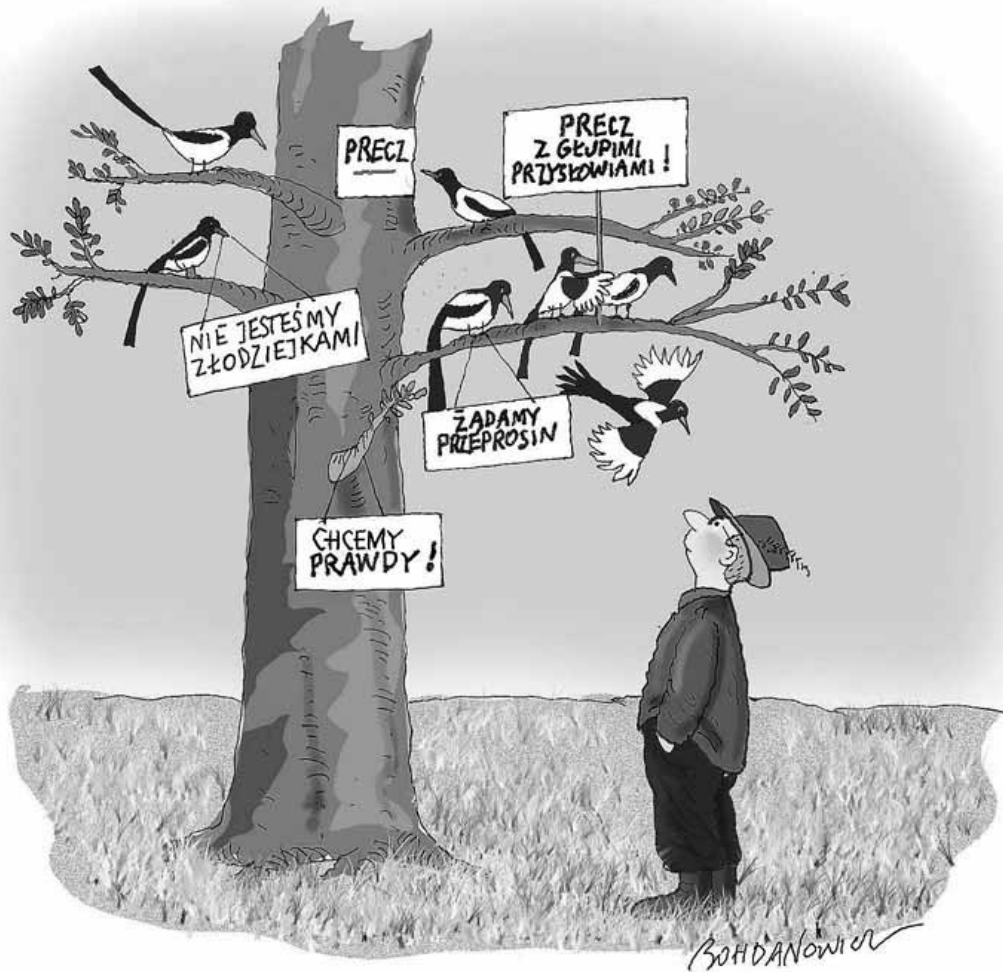
I tu pasuje jak ulał żart o nieznamości swoich pociech, kończący tę etiudę o ludzkim stadzie. Żart o tym, jak to synek z tatusiem wybrali się do zoo. Przeszli wybieg z żyrafami, hipopotamem, potem poszli zobaczyć słonia, o którym jeden radny mówił, że jest gejem, ponieważ kolegował się z innym słoniem, a słoniczkę bił trąbą, co świadczy o gejostwie. Dochodzą do klatek dla drapieżników, gdzie przejęty tatuś mówi:

– A teraz bardzo uważaj, synku, bo w tej klatce jest tygrys.

Na to Jasio:

– Nie bój się, tato, nic mu nie zrobię.

WRZESIEŃ 2008



PRECZ

PRECZ Z GŁUPIMI PRZYSKÓWIAMI!

NIE JESTEŚMY ZŁODZIEJKAMI

ZADAMY PRZEPROSIN

CHCEMY PRAWDY!

BOHDANOWICZ

SIAD!

Podśluchiwałem ostatnio pod niewielkim, wiejskim, mazurskim sklepem ciekawą rozmowę. Aż wstyd, że podśluchiwałem, ale jak wiemy od dawna, staje się to naszą nową świecką tradycją. Rozmowa była prowadzona za pomocą lokalnego wzmacniacza głosu, czyli najtańszego piwa, a wtedy sens i bezsens dociera do każdego, kto ma nawet lekko przytępiony słuch.

Dyskusja prowadzona przez dwóch polujących dotyczyła układania psów, które akurat biegały wśród rozmawiających, wyraźnie zadowolone z doczesnego życia. Na hasło „Siad!” siadały, na komendę „Leżeć!” kładły się natychmiast, a jeden, z wyglądu owczarek niemiecki, na rozkaz „Spocznij!” udawał nawet chwiejącego się żołnierza na przepustce. A ponieważ wszyscy wybieraliśmy się w stronę lasu, rozgadaliśmy się na temat zwierząt.

Od pewnego czasu przyglądam się psom uważniej, ponieważ wyczytałem, że niektóre z nich rozróżniają podstawowe, wypowiedane przez nas słowa. A istnieje na świecie taki egzemplarz, który reaguje nawet na dwieście słów, czyli zna ich tyle samo, co przeciętny kibol drużyny piłkarskiej, i przebija posłuszeństwem nawet potulnych mężów, którym komendy wydają apodyktyczne, ale dobrze karmiące żony. Mało tego, wszystkie rozkazy realizuje chętnie i nie domaga się nawet jakichś specjalnych gratyfikacji. Powiesz takiemu: „Do budy”, zejdzie natychmiast z oczu; powiesz: „Wynieś śmieci”, to nie dość, że wyniesie, to jeszcze wróci do domu szczęśliwy, z wywalonym jęzorem, a nie urwie się przy okazji do kumpli na piwo. Tylko jak powiesz: „Podnieś deskę, kiedy sikasz”, może tego nie zrobić, ale nie ma

psów idealnych.

Idziemy więc sobie wolno i opowiadamy o różnych przypadłościach naszych czworonogów, chwając się nimi ponad miarę i opowiadając o tym, jakie nieszczęśliwe są te miastowe, karmione z obrzydliwych, francuskich puszek króliczym mięsem albo pasztetem z domieszką trufli, jeśli są to francuskie pieski, i o tym, że pudel jednej pani popadł w bardzo ciężką depresję, ponieważ przechodząc obok wielkiego lustra w sypialni swej ukochanej pani, zauważył, że jest źle ostrzyżony. Fryzjer obciął mu czegoś za dużo albo za mało, co doprowadziło go do kompletnego wyczerpania psychicznego, ponieważ zrozumiał, że przez tego idiotę nie zdobędzie kolejnego medalu za idealne chodzenie przy nodze, bo już wie, że przed przedstawicielami związku kynologicznego nie ma zmiłuj, ponieważ nawet Polski Związek Piłki Nożnej i mafia pruszkowska mają wśród swoich mniej do powiedzenia niż kynolodzy na wystawach.

I opowiadam moim przygodnym partnerom wędrówki do lasu, że istnieje taki pomysł, by w przyszłości psy również posiadały dowody tożsamości zawierające informacje o miejscu zamieszkania, imiona rodziców i właścicieli, psie PESEL-e oraz uwagi na temat wykształcenia, które pozwalałyby na wejście do restauracji i leżenie pod ulubionym stołem, co normalny człowiek może robić bez dowodu i dyplomów.

Naszą radosną i twórczą dyskusję przerwał kot, który nieopatrznie przebiegł tuż przed nami przez zapiaszczoną, polną drogę i spowodował, że psy moich rozmówców nie rozumiały już ani komendy „Leżeć!”, ani rozkazu „Siad!”, ani nawet „Azor, wracaj, bo skopię ci dupę!”. Za moment i oni przepadli w pogoni za swoimi pupilami, a ja wdałem się w kolejną dyskusję – tym razem ze znanym miejscowym złodziejaskiem, który taszczył na plecach koła od czyjegoś roweru.

– Musi pan to robić? – zapytałem z wyraźnym wyrzutem w głosie.

– Muszę – odpowiedział z zaskakującą szczerością – muszę. Jak raz w tygodniu czegoś z lasu nie wyniosę, to się czuję tak, jakbym coś w nim zostawił.

PAŹDZIERNIK 2008



HALUCYNACJE

Wybrałem się do lasu na grzyby, bo ciepły jak na tę porę roku październik zachęcał do odwiedzania ulubionych zagajników z koszykiem w ręku. Takie ostatnie, romantyczne pożegnanie jesieni, kiedy już bardzo trudno odróżnić kurki od pożółkłych liści. Ale tym razem szedłem z duszą na ramieniu, i to nie dlatego, że sezon polowań w rozkwicie i myśliwych pełne bory i lasy. Tych się akurat nie boję, bo znają mnie z telewizji, więc mam pewność, że z żadnym politykiem mnie nie pomylą.

Szedłem lekko spietrany informacją, że policjanci na Podkarpaciu wzięli się za grzybiarzy, ponieważ okazało się, że wielu z nich zbiera tylko te, które są halucynogenne do tego stopnia, że gwarantują halucynacje. W Nisku patrol dzielnych funkcjonariuszy zatrzymał na krawędzi brzeziniaka dziwnie zachowujących się młodzieńców, którzy – jak się okazało na komisariacie – nazbierali sobie grzybków o właściwościach narkotycznych i teraz będą przed sądem odpowiadać za ich posiadanie. Grozi im nawet do trzech lat więzienia przepełnionego dilerami sprzedającymi na zewnątrz i w środku amfetaminę.

Strach mnie obleciał. Na grzybach co prawda się znam, ale nigdy jeszcze nie wahałem ich na skraju lasu. Przynajmniej tak mi się wydawało, chociaż Bogiem a prawdą pod kapelusze im zaglądałem i jakiegoś wężu mogłem dokonać. Na wszelki wypadek zadzwoniłem do mojego przyjaciela, wybitnego prawnika, z pytaniem, co mam robić, kiedy wyjdę oszołomiony z lasu, a pan policjant powie, że wahałem nie tylko powietrze. Tomek po krótkim namyśle powiedział:

– Jeżeli cię zatrzymają, zwalimy wszystko na leśniczego.

– Jak to?

– Jego las, jego grzyby, to i jego halucynacje. Gdyby nie zalesiał tych zagajników, po których chodziłeś, grzybów by nie było.

Przekonał mnie tym, co powiedział, ale pozostał do rozwiązania inny dylemat. Otóż od wielu lat obcięte korzonki i robaczywe główki borowików, koźlaków i kani wrzucałem pod drzewa na działce, żeby mi potem rosły pod oknami jadalni. Sypałem za każdym razem prawdziwkami, ale najchętniej wyrastały muchomory, czego zrozumieć nigdy nie mogłem. Podobnie jak tego, że grzybnie szykowałem pod świerkami, a największy wysyp miewam pod czereśnią, która w tym roku w ogóle nie miała innych owoców. Przyznacie, moi drodzy, że człowiek w tej sytuacji ma prawo podejrzewać, że coś jest tutaj nie w porządku.

Z tego przestraszenia zacząłem sobie przypominać ostatnie sny, których miałem mnogość, a pojawiały się najczęściej, kiedy zapadałem w drzemkę po grzybobraniu. O tym, że związki zawodowe rozumiały, że czasami trzeba mniej żądać, a więcej myśleć. O tym, że jeleń to jest też facet, który powierzył pieniądze bankom. I co najdziwniejsze, że piosenkarka Doda w każdą niedzielę śpiewa w chórze kościelnym ubrana w strój zakonnicy.

– Dlaczego właśnie takie, a nie inne? – zacząłem pytać sam siebie i zdałem sobie sprawę, że takie pytania egzystencjonalne prędzej czy później prowadzą do myśli samobójczych.

Wtedy przypomniałem sobie, że na mojej działce rosną jeszcze i inne grzybki, o których niewiele wiem, a o których miejscowi mówią, że lepiej ich nie zbierać, i być może to właśnie one tak mnie załatwiły, bo już wybierając się do lasu, byłem dziwnie podniecony.

„Boże – pomyślałem – muszę jakoś niepostrzeżenie doczołgać się do domu i wyrwać z korzeniami to całe cholerstwo”. Wracalem chyłkiem, tuląc się do opłotków i rozglądając się, czy nie sunie za mną jakiś radiowóz, a kiedy minąłem już ostatnie zabudowania i kiedy już byłem pewny, że nikt mnie nie śledzi, podniosłem głowę do góry, żeby podziękować Najwyższemu, że nic się nie stało. Na niebie wysoko w promieniach

zachodzącego słońca srebrzył się wielki samolot. I nagle dostrzegłem w nim uśmiechniętego pana premiera, jak z równie uśmiechniętym panem prezydentem zgodnie przemierzają przyjazny świat. I już wiedziałem, że na pewno jestem naćpany.

LISTOPAD 2008



PO ZMIERZCHU

Nie ma nic gorszego niż wczesny wieczór w grudniu, a nawet i na początku stycznia, kiedy dzień już się powoli wydłuża. W kwietniu czy maju można snuć się bez sensu do późnego wieczora, podziwiając przy okazji, jeśli ma się ochotę, jak wszystko powoli budzi się do życia. W listopadzie i grudniu nie ma czego podziwiać, ciemno już od wczesnego popołudnia, na zewnątrz pełno pijanych na nieoświetlonych przejściach dla pieszych, a w domu telenowełe udające nasze życie. Trzeba przyznać, że myśli mamy wtedy raczej ponure.

Ja i moi dwaj przyjaciele też znaleźliśmy się w takim położeniu, no, jakkolwiek by patrzeć, nostalgicznym. Przy wiejącym za oknem przeraźliwie zimnym wietrze usiedliśmy we trzech przy wzmocnionej herbatce i przy chudo zastawionym stole – bo czy chipsy można nazwać zastawionym stołem? – zaczęliśmy dyskusję na temat sensu życia. Było to wkrótce po tym, jak w telewizji pokazano angielski film o mężczyźnie, który prosił, żeby skrócić jego męczarnie tu, na tym świecie, i podać mu truciznę, ponieważ nie chce być do końca życia podłączony do szpitalnej aparatury. A ponieważ herbatka, jak zaznaczyłem, była wzmocniona czterdziestoprocentowym roztworem przypominającym w smaku owoce jarzębiny, to i nam zaczęły po głowach krążyć wizje, jak się w razie czego pożegnać z tym najpiękniejszym ze światów.

– Ja – powiedział mój jedyny polujący w tym gronie przyjaciel – gdyby się okazało, że jestem śmiertelnie, nieuleczalnie chory, wziąłbym któregoś dnia moją najlepszą strzelbę, moją ulubioną naleweczkę na pigwach i poszedłbym

na polanę, gdzie rośnie siedem dębów, i pod tym najbardziej rozłożystym wypiłbym do dna, i chwilę później pociągnąłbym za spust.

– O cholera, jakie to piękne – powiedział mój przyjaciel zajmujący się na co dzień filozofią i ocierając dyskretnie oczy napęknione łzami i wzruszeniem, rzekł do mnie: – A ty co byś zrobił?

Ponieważ wyobraźnię nie ustępowałem żadnemu z nich, a herbata była już czwarta, a nawet być może i piąta, zacząłem snuć i ja swoją opowieść.

– Ja, jeżeli jakaś ciężka choroba mnie dopadnie, to doczekam mroźnej, księżycowej nocy, kiedy na niebie widać będzie milion gwiazd i kiedy lód skuje moje ukochane jezioro. Pójdę wtedy na pomost z butelką ulubionej whisky, wrzucę do szklanki dwie kostki lodu, którego będę miał pod dostatkiem, i patrząc na rozmigotane niebo i oszroniony księżyc, wypiję wszystko do dna i zasnę na wieki.

– Ożeż ty! Ale to romantyczne! Ale żeś, kurwa, wykombinował! I rano ty jak pomnik górujący nad jeziorem! – wykrzyknął nasz filozof, ale kątem oka zauważyłem, że mu szczeka opadła po sam blat.

– No dobrze, a ty co byś zrobił? – zapytałem naszego kontestatora.

– Ja już to przeżyłem – odpowiedział, zamykając się na moment w sobie.

– Co ty chrzaniysz?!?! – zareagował Jan, ten od strzelby i pigwówki. – Nie można przeżyć czegoś takiego i potem być z nami.

– Można, można – stwierdził i zaczął swoją historię: – Wczoraj po obejrzeniu tego filmu naszło mnie to samo, co, jak widzę, i was, i mówię do mojej ukochanej jak człowiek: „Jeżeli się okaże, że nie ma dla mnie już żadnego ratunku, to odłącz mnie od tych wszystkich urządzeń, wyjmij ze mnie te rurki, przez które będę spożywać płyny, i niech już więcej się nie męczę!”.

– I co ona na to?

– A ona natychmiast wyłączyła komputer, zgasła telewizor, a piwo wylała do zlewu.

– Głupia krowa – rzekł Jan. – Nie ma co prowokować losu.

STYCZEŃ 2009



BOROWIK

W swojej wędrówce po Polsce, skuszony reklamą myśliwskiego bigosu, wszedłem do knajpy, która – sądząc po drzwiach wejściowych – niejedno i niejednego przeżyła. Były na nich i rany zadane siekierą, i oświadczyzny wydłubane scyzorykiem, i nawet ślady końskich kopyt, co świadczyło o tym, że fantazja miejscowych nie przeniosła się razem z murarzami do Irlandii, w której – jak się ostatnio dowiedziałem – co trzeci nasz obywatel nazywa się Prawo Jazdy.

Patrząc na owe drzwi, przypomniała mi się jeszcze jedna knajpa, do której za PRL-u wjeżdżało się konno. Restauracja Borowik w miejscowości Świętajno koło Szczytna, która nie tak dawno padła, tak jak i legenda „Solidarności” – zbyt piękna, żeby trwać bez końca, a w której to knajpie narodziłem się jako satyryk. Otóż balangując w niej trzy dni i trzy noce ze słynnymi w tamtej okolicy leśniczymi z Kolonii i Długiego Borku, w której przepijaliśmy pieniądze z gry w pokera, ostatnim wysiłkiem świadomości pod koniec pierwszej doby wymyśliłem, co oznacza pełen skrót dający nazwę BOROWIK. Rozszyfrowałem go tak: BOŻE OCHROŃ ROLNIKA OD WÓDKI I KUREWSTWA. Kiedy kończyliśmy drugi dzień, w akcie desperacji spowodowanej przemęczeniem organizmu odkryłem również, co oznacza BOROWIK czytany wspak: KURWA I WÓDKA OCHRONI ROLNIKA OD BOROWIKA.

Tym swoim pierwszym, jak mi się wydaje, tekstem satyrycznym zyskałem wówczas szacunek całej okolicy, którego doświadczam do dzisiaj ze strony tych żyjących anonimowych alkoholików, których Borowik nie pokonał.

Świątajno słynęło wówczas i z tego, że w miejscowym sklepie, na uboczu miejscowości, zobaczyłem któregoś dnia, a był to początek lat 70., całą półkę koniaków Remy Martin w cenie niewiele wyższej od białej z czerwoną kartką.

– To prawdziwy koniak? – zapytałem.

– A prawdziwy.

– To dlaczego taki tani?

– Prezes kazał przecenić, bo muchy za bardzo butelki obsrały.

I mam pewną świadomość, że to, co teraz ujawniam, jest i zrozumiałe, i wyobrażalne tylko dla człowieka sporo po pięćdziesiątce, bo tylko ci pamiętają, jakie zajzajery myśmy wtedy pili.

Wracając do czasów współczesnych i knajp z bigosem serwowanym za drzwiami z niebanalnym życiorysem. Przy stolikach nie było nikogo, poza gościem ubranym w barwy ochronne, siedzącym z wyrazem twarzy jak w dowcipie, w którym to barman pyta wyraźnie smutniejącego z kieliszka na kieliszek klienta:

– Co pana tak dołuje?

– Pokłóciłem się z żoną i ona powiedziała, że przez trzydzieści dni nie będzie się do mnie odzywać.

– To się zdarza, ale jakoś to pan przeżyje.

– Widzi pan – rzekł smutniejący obywatel, prosząc o następną setkę – problem tkwi w tym, że dzisiaj jest dzień ostatni.

Obywatel pijący w samotności po dłuższej chwili przyglądania się rozpoznał mnie i przysiadając się, zapytał, czy może postawić mi drinka. Ponieważ czekała mnie długa podróż, a będąc kierowcą, nie tykam alkoholu, odmówiłem, pytając o przyczynę melancholii, która gościła na jego zmęczonej twarzy.

– Nie powinienem panu głowy zawracać, ale muszę się komuś wygadać. Chciałem od kumpla kupić okazji bardzo dobry sztucer używany. Chciał dwa tysiące trzysta złotych. Jak na taką broń to bardzo przyzwoita cena. Moja na to, że za takie pieniądze to będziemy mieli dziczyzny do końca życia

i jeszcze jeden dzień dłużej, i to bez chodzenia do lasu. To ja jej powiedziałem, że tylko z jej fryzjera i kosmetyczki miałbym taki sztucer raz w roku i jeszcze połowę kasy na drugi. To ona na to, że mam już trzy sztuki broni i z żadnej jeszcze nic w życiu nie trafiłem, to i z tej czwartej też nie trafię. To ja trzasnąłem drzwiami i wyszedłem. I kiedy wróciłem do domu, sąsiadka na klatce powiedziała, że małżonka pojechała z dziećmi do swoich rodziców, ale zostawiła na stole wiadomość. Wiadomość, proszę pana, była następującej treści.

Tu wyjął z kieszeni kartkę zmiętą, wyraźnie czytaną wiele razy, i przeczytał mi jej treść:

„Wyjechałam z dziećmi do mamy i taty. Na stole zostawiłam barszcz. Wytrzyj”.

Westchnął i ciągnął swą opowieść dalej:

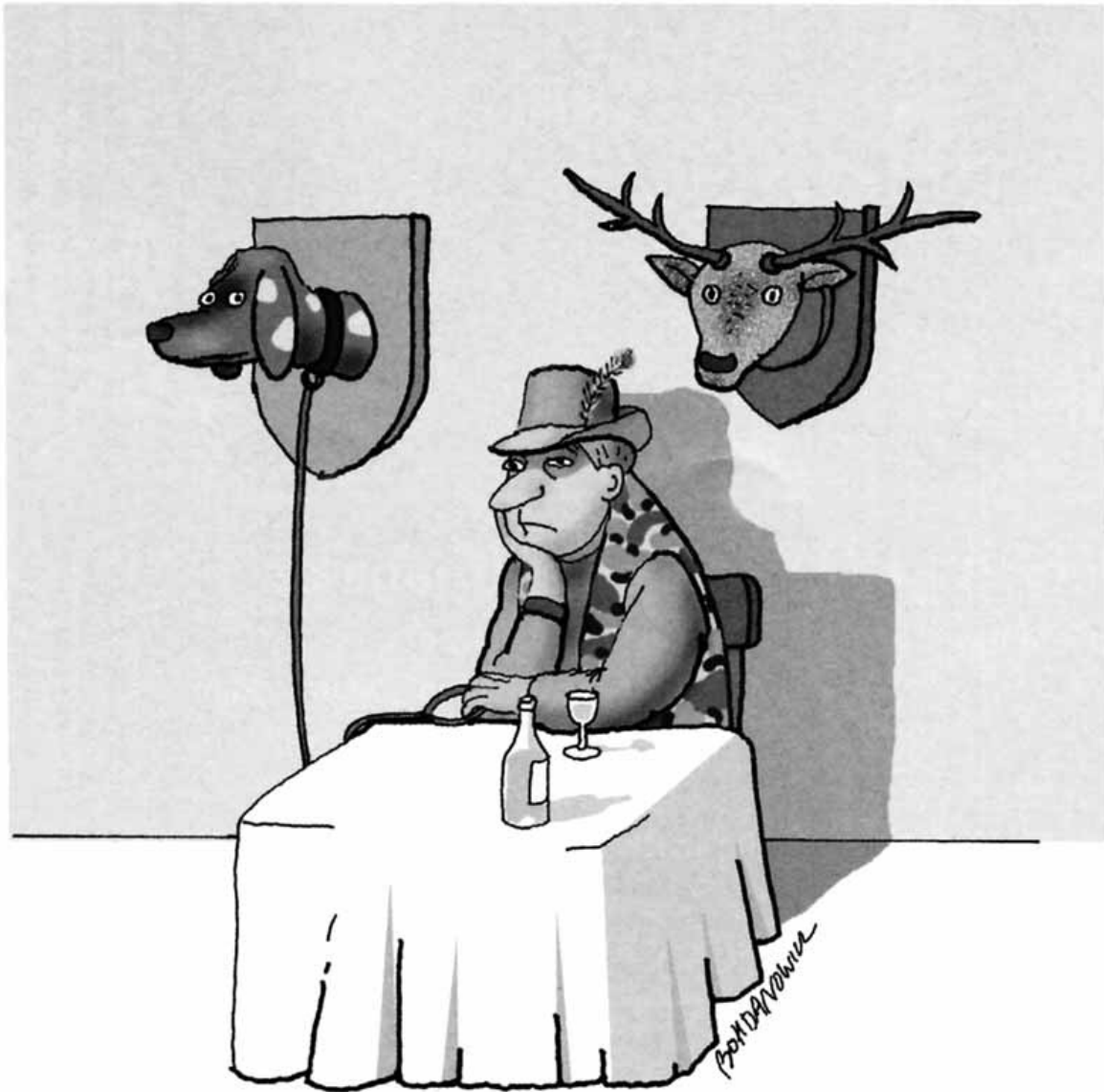
– I tak siedzę sobie tutaj, popijam i myślę, że tak naprawdę to my się kłócimy ze sobą tylko przed Bożym Narodzeniem, bo wtedy mi się zaczyna wydawać, że szkoda pieniędzy na to wszystko, co ona wydaje, a i jej natychmiast żal kasy na to, co ja wymyślę. I tak było teraz, i tak będzie w następnym roku, i tak prawdopodobnie będzie aż do usranej śmierci. I co pan na to? Mam rację czy jej nie mam?

– Nie wiem, co poradzić – odrzekłem – ale z moich spostrzeżeń i doświadczeń wynika, że w sumie to lepsze ma samopoczucie ten, co przeprosi pierwszy.

– Zna pan taki przypadek?

– Tak, znam. Redaktor Urban ministra Cwiąkałskiego – odpowiedziałem, zapłaciłem za bigos, zresztą całkiem niczego sobie, i wychodząc z knajpy, przypomniałem sobie dowcip o tym, jak to mały synek zapytał ojca, co to znaczy zawrzeć kompromis.

– To jest tak – zaczął tłumaczyć tatuś. – Ja chciałem kupić nowy samochód, bo ten, co mamy, już się rozsypuje, a mama nowe futro, bo też się rozsypuje. I po długiej dyskusji, która miała miejsce i w sklepie, i w restauracji, i w naszej sypialni, zawarliśmy coś, co można nazwać kompromisem. Kupuję mamie futro, ale będziemy je trzymać w garażu.



STRACH

Szedłem sobie spokojnie z kijkami do spacerowania, żeby się nauczyć poprawnie maszerować – bo można i niewłaściwie, ot choćby ciągnąc je za sobą albo trzymając tak, żeby się nie odpychać – bo wtedy nieszczęście gotowe: pierś nie urośnie, brzuch się nie schowa, a w efekcie po godzinie marszu kijki będą tak samo ciężać, jak za Polski Ludowej siatki z zakupami. Szynka zazwyczaj ważyła tyle samo, co list polecony, a kartofle, których obojętnie ile się kupiło – bez znaczenia, czy pół kilograma, czy pięć – po kilkunastominutowym dźwiganiu osiągały wagę pół tony.

Idę więc sobie lasem wyprostowany jak w instrukcji, odpycham się z gracją od leśnej drogi, oddziałując na każdy mięsień, aż tu nagle widzę, jak z lasu po drugiej stronie drogi wylatuje jakiś nieznany mi myśliwy i objając kolbą łydki, pędzi w moją stronę.

– Co się stało?! – krzyczę, bo nie wiem, co się dzieje, ale skoro człowiek ucieka, mając fuzję na plecach, i to jeszcze w takim pośpiechu i z przerażeniem na twarzy, to znaczy, że coś poważnego musiało się wydarzyć, a ja mam w rękach tylko te dwa kije, ale na samobije one nie wyglądają, a bronić się być może trzeba.

– Co się tam stało?! – krzyczę ponownie i łapię za rękę uciekającego, bo wygląda na takiego, co z własnej woli się nie zatrzyma.

– Niech pan mnie puści!!! – wrzasnął na mnie.

– Puszczę, ale proszę mi tylko powiedzieć, co się takiego straszego wydarzyło. Zabił pan kogoś, myląc go z dzikiem? Dlaczego pan taki błądy jak ściana? Bo i ja nie wiem, co mam robić. Czy iść dalej, czy uciekać razem

z panem?

Ten obejrzał się za siebie, zlustrował skraj lasu – najpierw wzrokiem, potem przez lornetkę – i uspokoiwszy się trochę, złapał oddech i rzekł:

– Dzik kichnął.

– Nie rozumiem.

– Dzik kichnął!!! – krzyknął tym razem.

– ...że kichnął, to już wiem, tylko że dalej nie rozumiem.

– Zrobił takie „aaaaaaćhhhhhhhi”!

– Jak się kicha, też wiem.

– Kichnął w moją stronę! Nawet nie zdążyłem zdjąć dubeltówki! Widzę, stoi na skraju zagajnika, to myślę, ustrzeżę. Wiatr wieje w moją stronę, to nie wyczuje. Odległość niewielka. Akurat ksiądz proboszcz wyprawia komunię dzieciom swoich parafian, to się ucieszy z dziczyzny. I już mam zdjąć fuzję, a on nagle unosi łeb i patrząc w moją stronę, robi: „aaaaaaćhhhhhhiiii”. A po chwili jeszcze mocniej: „aaaaaaćhhhhhhiiiiii”. A ja zgłupiałem i nie wiem, co robić! A on ślepia na mnie wybałusza i znowu kicha. No nie wiem, co zrobić!!! Czy, kurwa, strzelać?! Czy mówić: „Na zdrowie”?! I w tym momencie nogi się pode mną ugięły. Przecież on kicha w moją stronę!!!

– I co z tego?

– Pan chyba ocipiał albo taki tępy. Słyszał pan kiedyś kichającego odyńca?!

– Nie.

– A dzik to też świnia, tak?

– Tak.

– To on ma, panie, AH1/N1.

– Co ma?

– Świńską grypę!!!

– Skąd pan wie, że ma?

– Bo gdyby nie miał, toby nie kichał, tumanie jeden! I co pan teraz?

– Mam chusteczki, mogę panu pożyczyć.

Ale nie zdążyłem ich wyciągnąć, bo już go nie było. A ja na wszelki wypadek zawróciłem w stronę jeziora, mówiąc do siebie:

– Nic nie zaszkodzi, jak dzisiaj sobie trochę powiosłuję.

CZERWIEC 2009



WABIK

Dawno temu, kiedy w Stanach Zjednoczonych Ameryki zgodnie z ich konstytucją najważniejszy był człowiek, a nie odcisk jego palca, gościłem tam na koncertach. Jeden z Polonusów zaprosił mnie wówczas na polowanie na kaczki, a ponieważ mieliśmy kilkudniową przerwę w trasie, pojechałem.

Okolica była piękna. Jezioro, nad które dotarliśmy i nad którym rozbiliśmy namioty, też przecudnej urody. Kiedy się już rozpakowaliśmy, zakumplowany myśliwy wyjął dubeltówki, jedną dla siebie, drugą dla mnie, spuścił ze smyczy psa, który nie wiadomo dlaczego wabił się Nixon (piszę „nie wiadomo dlaczego”, bo pysk miał bardzo sympatyczny), potem kucnął za trzcinami i przy użyciu wabika zaczął udawać kaczkę, a może nawet i kilka naraz. Robił to w sposób tak umiejętny, że po kilkunastu minutach zleciało się w jego okolicę prawie całe ptactwo ze stanu Illinois, i to tak podniecone, jakby za chwilę miała się tu odbyć największa orgietka w historii tej części USA. Pies Nixon, rozplaszczony w trawie, z wywalonym jęzorem, też wyglądał, jakby już był po kilkakrotnym orgazmie.

Kaczek padło kilkanaście. Rano, po nocnej whisky wypitej do poduszki, trafionych zostało jeszcze kilka. Ruszyliśmy do miasta i w czasie podróży zacząłem gratulować Henrykowi – bo tak miał na imię ten sympatyczny Polonus – kunsztu wabienia. Na to ten odpowiedział:

– To głupie, jankeskie ducki. Nasze by się na to nie nabrały.

A potem dodał, chcąc podkreślić swoją tęsknotę za lasami koło Małkini, skąd pochodzili jego rodzice:

– Tu nawet wiewiórki są czarne.

– A widziałeś kiedyś te nasze? Rude? – zapytałem.

– Nie, ale tata opowiadali, że są tak ruchliwe jak młode Irlandki.

Kiedy rozstawaliśmy się pod hotelem, podarował mi ten wabik na pamiątkę.

– Bierz, Krzysiek, i ćwicz. Prędzej czy później i te nasze zgłupieją.

SIERPIEŃ 2009



RAZEM

Historia ta rozpoczęła się wyjątkowo banalnie – od przypadkowej małżeńskiej rozmowy, które zdarzają się w każdym domu. Otóż nasz bohater – bo to on ją zapoczątkował – szukając czegoś w gazecie, trafił na złotą myśl, a może i na niewinny, wymyślony przez kogoś żarcik, który postanowił przeczytać krzątającej się w jadalni żonie tylko dlatego, że ta każdy powszedni dzień zaczynała od słów:

– Ty już pewnie mnie nie kochasz.

A każdy wieczór kończyła zdaniem:

– Ty już na pewno mnie nie kochasz!!! – dokładając kilka łez i chowając twarz w wykrochmaloną poduszkę.

Tak naprawdę to nie wiadomo, co chciał tym osiągnąć. Może pomyślał: „Zaskoczę ją tym, co zaraz przeczytam, i zobaczymy, jak to się jej spodoba”. I głośno zapytał:

– Wiesz, co znalazłem?

– No? – odrzekła, wycierając ręce mokre od zmywania.

– Otóż – zawiesił głos – tu jest napisane, na czwartej stronie, że o prawdziwej miłości możemy mówić dopiero wtedy, gdy mężczyzna idzie wyrzucić śmieci, a żona mu towarzyszy.

– No i co dalej? – zapytała bez większego zainteresowania.

– Jak to, co dalej? – zdziwił się, lekko zaskoczony. – Nic, mówię tylko, że to ładne zdanie.

– À propos czego?

– À propos miłości, o której mówisz na okrągło, i rano, i wieczorem.

– Ale w dalszym ciągu nie rozumiem, co to ma z nami wspólnego?

– A niby co tu jest do rozumienia? – zirytował się wyraźnie. – Przeczytałem tylko to, co napisali w gazecie, że o prawdziwej miłości możemy mówić wtedy, gdy mężczyzna idzie wyrzucić śmieci, a żona mu towarzyszy. I to wszystko.

– Ale dlaczego to przeczytałeś? Przecież nigdy tego nie robisz! I już dawno ci mówiłam, że niepotrzebnie te szmatławce kupujesz.

– Powtórzę ci jeszcze raz. Przeczytałem, bo mi się to spodobało. Bo ty w kółko mówisz, że cię nie kocham. To ja ci chciałem pokazać, kiedy jest miłość, a kiedy jej nie ma. Dać jakiś przykład. I ten właśnie, cholera jasna, mi się nawinął na moje nieszczęście!!!

– Ale dlaczego to przeczytałeś właśnie mnie?!!!

– A komu miałem to przeczytać jak nie tobie?! Przecież żyjemy razem.

– To, co przeczytałeś, w naszym przypadku nie ma najmniejszego sensu! I dlatego nie rozumiem. A wiesz, dlaczego nie ma sensu?! Bo śmieci u nas wynoszę ja!!! No to co to może znaczyć?! Jedno!!! Że ty już naprawdę mnie nie kochasz! – Tu zalała się łzami i poszła do sypialni, bo tam upatrzyła swój azyl na takie okazje.

Przez kilka dni były w domu ciche dni, ale nie takie jak zawsze, na śmierć i życie, na rozwód i wieczną poniewierkę. Po prostu inne, takie, że nie wiadomo, czym się to może skończyć. Jakby jej w środku coś się przestawiało. Co prawda nie było żadnego „dzień dobry”, „co chcesz na śniadanie”, a nawet tradycyjnego „ty już na pewno mnie nie kochasz”. Ale kanapki czekały na talerzu, obiad też, kolacja również, i nawet kawa po południu, przy której czytał tę nieszczęsną gazetę. Tylko w głowie coś się wyraźnie działo, jakies inne układanie myśli, tak jakby porządkowanie półki na całkiem nowe rzeczy.

„Coś tu nie jest jak zawsze” – myślał, mając do siebie pretensje o ten wieczór, w którym lichy go podkusiło do żartu.

Aż doszło do dnia, w którym zaczął się szykować na polowanie. Kiedy już

sięgał po sztucer, zauważył, że ona ubiera się również, i tak samo ciepło jak on.

– Wychodzisz gdzieś? – odezwał się pierwszy raz od tygodnia.

– Jadę z tobą na polowanie – usłyszał zaskakująco pogodny głos.

– Dlaczego?

– Bo zrozumiałam, co chciałeś mi powiedzieć tamtego wieczoru. Chcesz, żebym ci towarzyszyła w twoich wędrówkach po lesie.

Nikt go ani wcześniej, ani później nie zmusił do tak szybkiego uruchomienia wszystkich zwojów mózgowych, jakie miał w tej chwili czynne. Kiedy po kilkunastu sekundach doszedł do siebie, odpowiedział z najładniejszym uśmiechem, na jaki go było stać w tej chwili, a który zdążył wymalować na spanikowanej twarzy:

– Nie, kochanie, ja tylko chciałem ci wtedy powiedzieć, że wynoszenie śmieci to męska rzecz.

Tym razem przytuliła się do niego już bez żadnego komentarza, ale i tak było już za późno.

Pół roku później kupił jej pierwszą strzelbę.

WRZESIEŃ 2009



SZUMI DOKOŁA LAS

Patrzę z okien mojego mieszkania na słoneczny, jesienny las. Właściwie mieszkanka, które kupiłem jakiś czas temu w rybaczówce położonej na terenie ścisłego rezerwatu ptactwa. Trzysta metrów od domu, w którym owo cudeńko wyremontowałem z wyjątkową pieczołowitością, jest jezioro Košno, też chronione. Na nim zamieszkały przecudnej urody czaple białe, które wieczorami, siedząc na drzewach, przypominają przyklejone do nich wielkie kwiaty. A jelenie od kilku dni nawołują się tak, że aż drżą szyby w oknach.

Tu, w tym miejscu, obojętnie, czy jesteśmy sami, czy z przyjaciółmi, czujemy się jak w bajce, którą sam sobie wymyśliłem i napisałem. Tu jest czas i na spacer po lesie, i na całodniową wyprawę łodzią po niezaludnionym jeziorze, i na pisanie książek, i na równie cudowne nicnierobienie. A kiedy wieczorem napalę w kominku, od czasu do czasu włączam telewizor, w którym antena łapie tylko trzy programy, i patrząc na styl i sposób uprawiania polityki, zastanawiam się nad jednym.

Jak to jest? Jak to się dzieje, że za moimi oknami mam piękny i na swój sposób mądry las, cztery kilometry dalej wioskę, która z roku na rok ładnieje, i to bez żadnych pieniędzy i dyrektyw, a to, co oglądam na ekranie, to wiocha w najgorszym wydaniu, której nie uświadczysz na naszym podwórku?

Być może ktoś, czytając to, powie teraz zniesmaczony:

– Przykłady poproszę.

Proszę uprzejmie, i to z własnego, rodzinnego podwórka, bo opowiedziany przez moją córkę Sylwię, która jest panią leśniczyną, albo po prostu, żeby było bardziej zrozumiałe, żoną leśniczego. Otóż pewnego dnia do ich

leśnictwa przyjechał z dużego miasta pan inspektor od drzew albo mniszek i korników, lub czegoś szczególnie ważnego. Przyjechał w taki czas, kiedy leśniczy przed zimą ma bardzo dużo roboty, a w lesie pokazały się grzyby. I jest taki niepisany zwyczaj, że na podsumowanie ostatniego dnia po przeprowadzeniu inspekcji leśniczyna podejmuje gościa obiadem. Tak uczyniła i moja córeczka, a muszę zaznaczyć, że gotuje znakomicie. Upiekła więc i usmażyła to, co miała w lodówce, jak najlepiej potrafiła. Postawiła to wszystko, parujące jeszcze, na przykryty świątecznym obrusem stół i powiedziała z ujmującym uśmiechem:

– Proszę skosztować, to są specjały, które przygotowałam dla pana.

I ów inspektor zaczął zajadać to wszystko z ogromnym apetytem, dokładając z każdego półmiska po kilka razy na duży talerz. I jadł z takim zapalem, że aż pomyślała: „Matko moja, co ja dam moim dzieciom, kiedy wrócą ze szkoły?”.

A ten jadł i jadł, i jadł, a kiedy po godzinie zaczął hamować, Sylweczka nie wytrzymała i zapytała z widocznym zadowoleniem:

– Widzę, że panu inspektorowi moja kuchnia bardzo smakuje.

Na to inspektor odpowiedział, pierwszy raz unosząc głowę znad talerzy:

– Ja, kiedy jestem głodny, to każde gówno zjem.

PAŹDZIERNIK 2009



HEJ, IDĘ W LAS, PIÓRKO MI SIĘ MIGOCE

Przyznam się teraz do jednego. Chodziłem do tej pory do lasu jak łachmyta. Na nogach rozklapciane, ale za to obrzydliwie wygodne mokasyny, którym niewiele już brakowało do pełnoletności. Na grzbiecie kurtka zakupiona w jakimś armijnym sklepie koło Chicago, pełna śladów po monsunowych deszczach w Indochinach, z której kieszeni, kiedy zaniósłem ją do pralni, wysypał się piasek z „Pustynnej Burzy” w Iraku, tej „Pustynnej Burzy”, którą wywołał jeszcze stary George Bush po tym, jak Saddam Husajn postanowił zająć Kuwejt razem z jego ropą. Na głowę najczęściej nakładałem kapelusz nabyty w sklepie Kakadu Hot Company w Sydney, który już w chwili zakupu wyglądał tak, jakbym go zdjął jakiemuś australijskiemu buszmenowi razem z jego skalpem. Myślałem, że idąc w ten sposób ubrany do lasu, nie zwracam na siebie niczyjej uwagi, bo las – przynajmniej tak myślałem – to nie Sopot latem i nie Krupówki w Zakopanem, kiedy spadnie śnieg.

Niestety, ten błogi stan trwał tylko do dnia, kiedy mijając na leśnej polanie jakiś piknik, usłyszałem, jak rozdekoltowana pani z pazurami tak okazałymi jak u orła bielika rzekła do pana walącego lufę za lufą:

– Popatrz, a ten to wygląda jak łajza. – I pokazała na mnie swoim czerwonym, zakrzywionym palcem.

Ubodło mnie to strasznie. To ja, ubrany według najnowszej mody jak snajper, jak weteran dwóch wojen i uczestnik kilku egzotycznych safari, nie pasuję do tego towarzystwa jedzącego bigos przy pańniku dla saren? Pokręciło ich? Czy mnie?

Fakt faktem, przez kilka nocy spać nie mogłem. Aż doszło do kolejnego wypadku.

„Oczywiście mogę jechać tak jak zawsze” – pomyślałem. „Co mi tam. Jestem dorosłym facetem i ubieram się tak, jak ja chcę. Nikt mnie nie zmusi, żeby było inaczej. Ale czy kolegom, z którymi mam się spotkać, nie robię jakiejś wiochy? Cholera, jeżeli nawet robię, to też nie powiedzą, bo to kumple”. Do tej pory miałem tylko dylemat, co zabrać ze sobą, czy sztucer, czy dwururkę, a teraz jeszcze, jakie buty mam włożyć, czy te stare, czy trekkingowe, czy może adidas. Do tego powinna dojść kurtka oddychająca jeszcze bardziej niż ja, bo to, że ja oddycham, to już jest za mało. I to wszystko przez jeden głupi komentarz. Stoję przed lustrem jak panna młoda i pierwszy raz zastanawiam się, czy lepiej jest dobrze strzelać, czy lepiej porządnie wyglądać. Stoję i przymierzam wszystko, co mam w szafie, i myślę, że chyba jednak mi odjechało. Właśnie wtedy weszła moja i patrząc, jak wkładam koszulę przypominającą kolorem szwajcarską krowę dającą czekoladę, spytała, otwierając szeroko jeszcze nieprzytomne oczy:

- Co ty robisz o piątej rano przed lustrem w tej koszuli?
- Patrzę, w czym pojechać na polowanie.
- Na co?
- Na sarny.
- W takim stroju?
- Tak.

Chyba pierwszy raz, jak pamiętam, zaniemówiła. Źrenice jej oczu zrobiły się wielkie, tak wielkie, że piąsteczki były za małe, żeby je przetrzeć, a kiedy doszła do siebie, zadała tylko jedno pytanie:

- To jeszcze tylko powiedz, jak ta łania ma na imię.

LISTOPAD 2009



ZAKUPOWER

Myślałem ostatnio, co sobie dokupić do sprzętu. Coś, co w tym sezonie będzie niezbędnie potrzebne, potrzebne absolutnie, a nawet, śmiem powiedzieć, wręcz konieczne. Bez czego z domu na jakąkolwiek męską przygodę nawet nie wolno wyjść.

Zacząłem przeglądać garażowe szafy i przepastne, zapchane po czubek szuflady, żeby nareszcie pozbyć się tego, co niepotrzebne, a przy okazji sprawdzić, czy czegoś mi nie brakuje. A ten, kto takie szuflady ma, wie, że niczego wyrzucić się nie da, ponieważ jeśli się pozbędziesz tego, co wyrzuciłeś, to już następnego dnia z samego rana okaże się, że to była jedyna rzecz, która właśnie dzisiaj jest potrzebna do wszystkiego.

Po kilku godzinach przewalania ciuchów, butów i wszelkiego sprzętu poczułem się mniej więcej tak jak dziadek moich przyjaciół, który poszukiwał pewnej śrubki w garażu, która po wyrzuceniu podobnej dnia poprzedniego była mu teraz bardzo potrzebna. I ona, ta druga, była identyczna, i tę drugą położył piętnaście lat temu w bardzo widocznym miejscu, tak widocznym, że chyba nawet ją widział wczoraj, kiedy pozbywał się tej wyrzuconej. I ta druga nagle przepadła, i teraz, jeśli się nie znajdzie natychmiast, to świat już nigdy nie będzie taki sam i nic do niczego nie będzie pasowało.

Zaczął więc całe pomieszczenie sukcesywnie przeczesywać, będąc facetem coraz bardziej wkurzonym. I w tej demolce uczestniczył jego czteroletni wnuczek, który z podziwem patrząc na dziadziusiowe wyczyny, sądził, że ten bawi się jeszcze fajniej niż on wśród swoich zabawek. W pewnym momencie

z ciekawości zapytał:

– Dziadku, co ty robisz?

– Szukam wczorajszego dnia – odpowiedział dziadek, będący właśnie na krawędzi załamania nerwowego.

Na to wnuczek z przejęciem:

– A zaglądałeś między młotki?

Ze mną zaczynało się dzieć coś podobnego. Szukałem czegoś, co mi będzie potrzebne, nie mając żadnego pojęcia, co to ma być. Czuję się jak żona, która wchodzi do sklepu z ciuchami sprzedawanymi na wagę i szuka czegoś, co chce zważyć.

Może nóż wielofunkcyjny? Ale po jaką cholere, kiedy z tych sześciu i tak używam tylko trzech, i wszystkie są naostrzone przez cztery ostrzałki, które kupiłem w poprzednich sezonach. Niby wszystko, co mi potrzebne, już mam. Ale potrzeba nabycia czegoś nowego jest coraz większa, bo nie po to przez pół roku gromadzi się zaskórniaki, żeby ich teraz nie mieć na co wydać. To tak, jakbym był Syzyfem, który ma kamień i górę i nie wie, co z tym zrobić.

Domownicy wyczuli ten mój stan, ponieważ nikt nie próbował nawet wejść mi w drogę, nawet pies się schował pod stół i udawał, że go nie ma, tak samo jak i mnie, i listonosza, który dzwonił do drzwi. Po prostu zaniemówił, stracił węch i instynkt. Żona – zero pytań, a dzieci – zero pretensji i potrzeb. Częściowo nawet spodobał mi się ten stan.

Wreszcie, żeby rozładować tę koszmarną atmosferę, postanowiłem sprawdzić, co mi oferują sklepy internetowe. Było w nich wszystko: i ubrania, i buty na każdą nogę, i piersiówki na każdą pierś, ale to już wszystko mam, już leży w szufladach. I wreszcie... o matko... chyba znalazłem. Na wszelki wypadek przerzuciłem szuflady. W porządku. Więc odpaliłem komputer, żeby jak najszybciej zamówić, i napisałem:

„Zamawiam alkomat, sztuk 1, profesjonalny, z zakresem do 4.00 promila”.

Wysłałem, odetchnąłem z ulgą i jak na komendę cały dom ożył. Żona wyszła z sypialni, młodzież opuściła swoje legowiska, a pies poleciał na osiedle obszczekać doręczyciela listów, żeby nie czuł się za swobodnie.

- I cóż za szczęście nas spotka tym razem? – zapytała moja połowa.
- Zamówiłem alkomat, professional.

Zapadła głucha cisza, taka, jakby i ona chciała zrozumieć to, co do niej dotarło, a potem usłyszałem głos żony:

- Przecież ty jesteś abstynentem.

GRUDZIEŃ 2009



DWIE PRĘDKOŚCI

Znajomi, którzy wiedzą, że piszę do „Łowca Polskiego”, pytają mnie czasami, czy ktoś w naszej rodzinie polował lub poluje. Wiem, że na pewno był wujek Antoni na Wileńszczyźnie, który to robił, ale nie słynał on w rodzinie z jakiegoś nadzwyczajnego oka. Z tego, co słyszałem, był – tak jak większość dzisiaj – myśliwym niedzielnym. Lubił wyrwać się z domu, postać na mrozie, zlizać szron z przemarzniętych wąsów i od czasu do czasu huknąć z dwururki, raz celnie, a raz na wiwat, tylko po to, żeby przeczyścić lufy i żeby ciocia usłyszała, gdzie jest.

Wujek – którego nie znałem, bo urodziłem się już tutaj, na Warmii, w nadleśnictwie Wichrowo koło Lidzbarka Warmińskiego – podobno słynał z małomówności i do cioci Teresy odzywał się mniej więcej raz na tydzień albo i rzadziej, i tylko wtedy, gdy podobno nie było innego wyjścia. Nie wynikało to jednak z jakiegokolwiek niechęci do siebie. Przeciwnie, z tego, co słyszałem, kochali się bardzo, tylko odzywali mało. Ale kiedy już wuj Antoni głos z siebie wydobył, to przez kilka miesięcy bliższa i dalsza okolica niczym innym nie żyła, jak tylko powtarzaniem jego słów.

Nie wiadomo, ile w tym prawdy, ale w rodzinie opowiadano, że kiedyś w karnawale (a więc jest to opowieść na tę porę roku odpowiednia) ciocia odezwała się do wujka w sprawie nadzwyczaj dla niej ważnej, zwracając się do niego w taki oto sposób:

– Słuchaj, Antosiu! Ja sobie dzisiaj, leżąc pod pierzynką, przypomniałam, że my za kilka dni będziemy obchodzić srebrne gody. Widzisz, Antosiu, tyle my już pięknych lat ze sobą jesteśmy. Ty nie przeszkadzasz mnie w myśleniu

i w odmawianiu pacierza, a ja tobie także nie przeszkadzam. I ja pomyślałam, żeby z okazji naszego jubileuszu gości sprosić na najbliższą sobotę. Samogóńczyku z tego, co pamiętam, jeszcze sporo masz pochowanego na wszelki wypadek, gdyby ruskie, co nie daj Boże, znowu wrócili, tak więc wypić nasze zdrowie jest czym. Upolujesz może coś na tę okazję, a jak nie trafisz, to żeby goście mieli co zjeść, to zarzniesz tego największego koguta.

– A co on temu winny? – zapytał wuj Antoni.

Być może powiedział to całkiem ktoś inny, innej ciotce lub jakiejś innej jubilatce, ale w naszym domu tę anegdotę wspominano jako własną za każdym razem, kiedy mówiono o tych, co za Bugiem. I dlatego przetrwała do dzisiaj.

Teraz, kiedy istnieje internet, Facebook, telefonia komórkowa, a nawet coś tak prozaicznego jak CB-radio, wiadomości jakiegokolwiek rozchodzą się piorunem. Opowiadał mi jeden z fanów, że kupił sobie CB-radio, ponieważ sporo jeździ po kraju i chce się czuć komfortowo w tym przemieszczaniu się. Ci, którzy posługują się tym urządzeniem, wiedzą, że towarzystwo przez nie rozmawiające jest specyficzne i ma swój slang: mobilki to inni kierowcy, misie – policjanci, suszarka – radar, wszystko inne to drobiażdżki – rondko, wypadeczek itp., itd., itp. I temu fanowi – wracam do jego opowieści – wydawało się, że opanował język starych repów. Zauważył pewnego dnia radiowóz czający się za przystankiem autobusowym i postanowił wkroczyć do akcji, nie wiedząc, że istnieje coś takiego jak trema. Wziął mikrofon, nacisnął odpowiedni guziczek i w eter popłynęło:

MOTYLKI, NA PRZYSTANKU STOJĄ NIEDŹWIEDZIE
Z ODKURZACZEM.

– Skąd pan wie, że tak powiedział? – zapytałem, ponieważ z reguły nie pamięta się takich słów.

– Skąd wiem? Przez następne sto kilometrów niczego innego w radio nie słyszałem.

STYCZEŃ 2010

DZWONI JAKIŚ DZIK.
CHCE SIĘ Z TOBĄ
UMÓWIĆ
NA POLOWANIE.



BEZ PRĄDU

Siedzieliśmy w telewizyjnym i narzekaliśmy na narzekających – tych, których w ostatnich latach denerwował brak zimy, że za mało śniegu, że za słabe mrozy i że ocieplenie klimatu. Aż tu nagle, na przekór znawcom przyrody, klimatu i upalnej przyszłości, sypnęło i przymroziło. I to całkiem nieźle, bo aż poprzyginało gałęzie drzew, i to do samej ziemi.

I znowu powstał spór o to, kto ma je oczyścić ze śniegu, przynajmniej w sadzie, a kto za płotem. Leśnictwo krzychało, żeby nie dotykać drzew bez ich zezwolenia; ekolodzy, że najpierw trzeba sprawdzić, czy są tam jakieś gniazda; wójt, że trzeba działać zgodnie z planem zagospodarowania gminy; a znajomi elektrycy stwierdzili, że skoro słupom nie dała rady komuna, to i przyroda nie da. A śnieg padał, i to bez żadnej kalkulacji. Sypało coraz bardziej.

I tak sobie żeśmy gaworzyli, spoglądając przez okno i pijąc kawę po turecku, kiedy nagle rozległo się jakieś nieznanie wcześniej skrzypienie, a chwilę później huk i trzask łamanych gałęzi. Syn, który był najbliżej okna, tylko jęknął:

– O w mordę, słup poleciał.

Chwilę po tym przypadku zapadła ciemność, a po niej kompletna cisza. Siedzieliśmy nieruchomo, czekając na żonę, która poszła do kuchni poszukać świec i jakiejs latarki. Po chwili wróciła i obwieściła, że znalazła tylko trzy ogarki, które już kilka razy były w użytku. Zapaliliśmy je, kiedy ściemniło się ostatecznie, i patrząc na trzepoczące się niewielkie płomyczki, zapadliśmy w przygnębiające milczenie. Cisza w takiej sytuacji jest przerażająca. Do tej

pory coś zawsze w chałupie brzęczało, nawet bardzo często bez potrzeby – albo radio, albo telewizor, albo komputer w pokojach młodzieży. A tu nic.

Siedzieliśmy, nie wiedząc, co robić dalej, a piloty – pudełka naszej stabilizacji – leżały jak porzucona na polu bitwy broń. Co dalej? Co dalej z naszym nagle niepewnym losem, życiem i – co najważniejsze – co dalej z życiem naszych bohaterów oglądanych regularnie po 17.30?

– Jak nie ma serialu, to napijmy się chociaż herbaty – odezwała się córka.

– Nie ma prądu, nie ma herbaty – stwierdziła małżonka.

– A co z obiadem? – dołączył do córki syn.

– Dzisiaj musi wam wystarczyć zwykła kanapka z serem.

– Bez popitki?

– Bez. Możesz napić się wody.

– W takim razie chrzańię to wszystko – stwierdziła córuchna. – Jadę do ciotki Krysi do miasta. Zadzwoń, że będę nocować, i lecę do autobusu.

– To zadzwoń – powiedział syn i podsunął jej ociemniały telefon.

– A autobusy nie mają zimowych opon – dodałem.

Przez następne dwie godziny usiłowaliśmy opracować plan przeżycia. Jak sobie dać radę bez prądu, od którego jesteśmy – dopiero teraz to do nas dotarło – jeszcze bardziej uzależnieni niż od narkotyków, których na szczęście nie zażywaliśmy. Woda, łazienka, prysznic, wanna, koszulki w szafach, słoiki w spiżarni – do tego wszystkiego jest potrzebny prąd, albo przynajmniej światło. I jak sobie dać radę, kiedy w zapasie są tylko trzy świece, niecałe pudełko zapalek, butla turystyczna bez gazu i pospuszczana woda w kibelkach.

Tak może właśnie wyglądać koniec świata. Najpierw bez prądu, potem bez zapasów w lodówce i na koniec, od kogo zacząć, żeby przeżyć. Takie myśli zaczęły krążyć po naszych skołatanych głowach. Postanowiliśmy pierwszy raz planować swoją wspólną przyszłość. Zaczęliśmy przypominać sobie, co robiło się kiedyś. Syn zadeklarował, że pójdzie do lasu, przyniesie chrustu i napalimy w kominku, to da nam ciepło. Tu dyskretnie przypomniałem, że kominka nie mamy, a temat od razu podchwyciła żona, że ona zawsze chciała

taki mieć, tylko że ja byłem za mało stanowczy.

I tak, szykując się na najgorsze, bo śnieg padał w dalszym ciągu, powoli wracaliśmy wspomnieniami do czasów, kiedy nie było elektryfikacji. I powoli pamięć też wracała, chociaż czasem w najdziwniejszych odsłonach. Kiedy przed północą oznajmiłem domownikom, że muszę wyjść z domu za pilną potrzebą, moja ukochana – wciąż jeszcze naburmuszona za sprawą tego nieszczęsnego kominka, ale już po dawnemu troskliwa i przewidująca – powiedziała:

- Tylko weź ze sobą dwa kije.
- Po co? – zapytałem zaskoczony.
- Czytałam kiedyś w jakiejś książce – szepnęła – że na jednym się opierasz, a drugim opędzasz się od wilków.

LUTY 2010



KOTECZEK

Poraził mnie trochę artykuł „Kot – groźny drapieżnik”, zamieszczony w ostatnim numerze „Łowca Polskiego”. Poraził mnie co prawda nie tak, jak Platforma Obywatelska i Donald Tusk osobiście i nieustająco porażają prezesa Jarosława Kaczyńskiego, że ten momentami czuje się jak torturowany prądem talib przywieziony do Polski samolotem CIA i uwięziony w Starych Kiejkutach pod Szczytnem, w miejscu, gdzie kiedyś był ośrodek harcerski, w którym spędzałem ferie i wakacje, będąc przybocznym co ładniejszych druhen, a gdzie później powstała szkoła szpiegów, do której już nie miałem dostępu ani ja, ani moje drużyny. Tak czy inaczej, zostałem wiadomością o tych więzieniach wstrząśnięty, a nawet i zmieszany.

Ale wracajmy do kotów, drapieżników. Mam obecnie w domu trzy: rodzeństwo Filona i Laurę oraz Zarazkę, która toczy nieustające boje nie tylko ze ślimakami, gryzoniami i ptactwem, ale też z okolicznymi psami, czego koronnym dowodem jest brak ogona postradanego podczas jakiejś potyczki. I nie od dziś wiadomo, że koty polują na wszystko, bo taka ich przewrotna natura. Ale od wielu lat obserwuję swój ogród i staram się zrozumieć, co się w nim dzieje i jak postępuje ewolucja, i wiem, że ptaki – których jest w okolicy dużo – mają opracowany system wczesnego ostrzegania. Tak samo jest z oczkiem wodnym. Jeszcze kilka lat temu nie było tygodnia, żeby któraś z rybek nie została wyłowiona. Teraz nie pamiętam, kiedy zdarzył się taki przypadek – może rok, może dwa lata temu. Karasie i karpiki już wiedzą, kto jest swój, a kto wróg. Podchodzę ja – wyskakują z wody, bo wiedzą, że dostaną coś dobrego. Gdy tylko nad wodą

pojawia się głowa kota – po sekundzie nie ma ani jednej rybki.

Podobnie jest z ptakami. Mam w ogrodzie sporo dzikich gołębi, szpaków, srok i całe stado kawek. Kiedy nadchodzą dni nauki latania, dzieją się w ogrodzie rzeczy niebywale. Cała okolica przez kilka dni jest pełna przerażonych kawiątek, które lądują na trawniku i chwilę później z krzykiem chowają się w krzakach, ściągając wszystkie koty łaknące krwi i wszystkie dorosłe kawki, które nie chcą dopuścić do tego, żeby maleństwa ginęły. Ale zapolować na nie wcale nie jest łatwo, ponieważ w tym samym czasie oddziały dorosłych ptaków organizują straż obywatelską, która usiłuje tych maleństw bronić.

Kilka lat temu siedzieliśmy przy kolacji, mając otwarte drzwi na taras. Nagle pojawiła się w nich kawka, która z wrzaskiem wlatywała i wylatywała z domu, chcąc nas powiadomić, że dzieje się nieszczęście.

– Coś się musiało stać – stwierdziliśmy i pobiegliśmy za ptakami. Pilotowały nas do krzewu orzecha, w którym siedział przerażony ptasi berbec. Metr od tej kupki nieszczęścia czaił się kot, ale nie za bardzo mógł się do niego dostać, ponieważ nad nim krążyło zdesperowane stado ptaków.

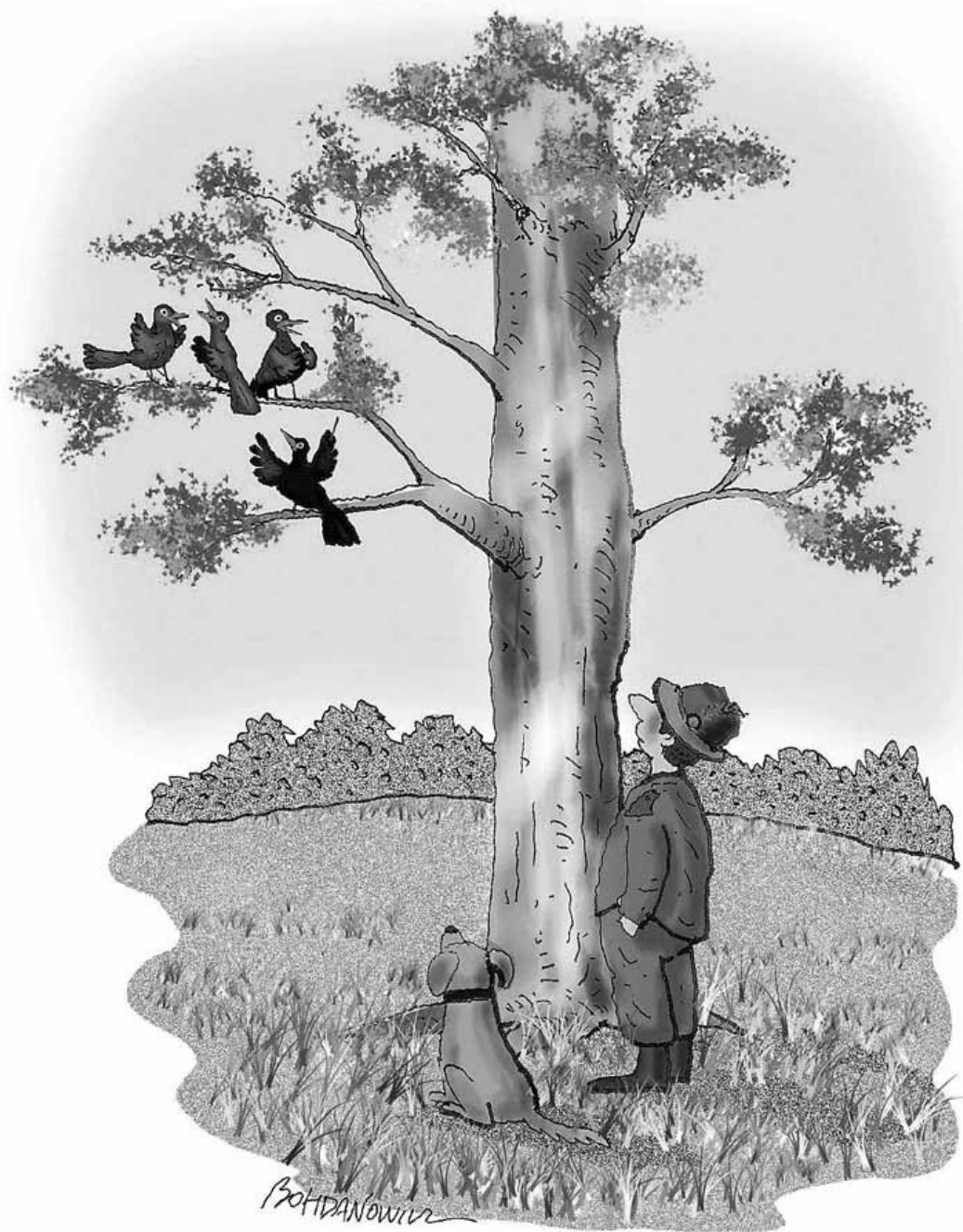
Pamiętam, że skończyło się to wszystko dobrze, a nawet wzruszająco. Ponieważ robiło się już ciemno, a maluch nie dawał rady poderwać się z gałązki, na której go posadziliśmy, zabraliśmy go do garażu, wsadziliśmy do klatki, w której dawniej zamieszkiwał kanarek, napoiliśmy, zostawiliśmy wodę w pojemniczku, postawiliśmy klatkę na parapecie okna, zostawiliśmy światło i zaczęliśmy podpatrywać, co będzie dalej. Maluch popiskiwał, pod drzwiami garażu czaiły się koty, które wyglądały dokładnie tak jak w kreskówkach Disneya, a po drugiej stronie okna, na parapecie, gdzie stała klatka, dreptały, zaglądając cały czas przez szybkę i uspokajając na swój sposób, on i ona, pewnie matka i ojciec. I rano, kiedy weszliśmy do garażu, one dalej tam tkwiły, dodając maluchowi otuchy. Chwilę później, już wypoczęty, odpalił, poszybował na dach i tyle go widzieliśmy.

Potem, za rok lub dwa, mieliśmy prawie identyczną przygodę, może tylko mniej romantyczną, ale podobnym krzykiem kawki prosiły nas o ratunek.

I po tych obserwacjach dochodzę do wniosku, że okoliczne ptaki coraz

lepiej przed kotami się bronią. Gorzej im pewnie wychodzi z niektórymi ludźmi, co do których mam wątpliwości, że będą także uczestniczyć w ewolucji jak moje kawki. A tych wątpliwości nabrałem po przeczytaniu złotej myśli pewnego ucznia, chodzącego do szkoły na Podlasiu. Napisał ów młodzieniec tak: „Dziedziczność pozwala wyjaśnić, dlaczego skoro dziadek i ojciec nie mieli dzieci, to i my będziemy bezdzietni”.

KWIECIEŃ 2010



LIS I ZAJĄC

Człowiek żyjący w tym samym miejscu, w tym samym środowisku, w tej samej okolicy przez wiele lat przestaje zwracać uwagę na to, co ma dookoła. Jak mawiają moi mazurscy przyjaciele – „dookoła” powszednie. Nie widzimy zmian, nie zauważamy piękna, nie mierzi brzydota, nie denerwuje bałagan i nie przeszkadzają śmieci, bo wydaje się nam, że tu tak było od dawna, a ponieważ wzrok się przyzwyczaił, to i świadomość się nie buntuje. Zostało klepnięte i szlus. Czasami tylko jakiś sygnał, jakiś daleki dzwonek przypomni, że było tu kiedyś inaczej. Porządniej i lepiej.

Tak jest i ze mną po przeczytaniu artykułu „Kogo chronimy” o inwazji lisów, których jest już pełno i wszędzie. I wiem, że tak jest, ponieważ bywam nocnym kierowcą. Nie ma takiej podróży, żebym na trasie liczącej dwieście kilometrów nie widział jednego, dwóch, a czasami i więcej osobników. Ich obecność w świetle reflektorów wyraźnie spowszedniała, tak jak saren czy dzików przebiegających drogi. Rudego jest wszędzie pełno, obojętnie, czy jest to środek Polski, południe, czy granicząca z Kaliningradem północ.

Ale czytając ten materiał, uświadomiłem sobie co innego: że zając w tych nocnych wędrówkach stał się absolutną rzadkością. Nie przypominam sobie ani jednego, który by w ostatnim półroczu pojawił się w światłach mojego samochodu. Dawniej zając był zmorą kierowców przyjaźnie do nich nastawionych. Bywały takie jazdy, że co rusz dawało się po hamulcach i zmieniało światła na krótkie, a czasami i postojowe, żeby tylko dać szansę ucieczki przerażonym szaraczkom. Teraz czegoś takiego nie ma – zając przepadł, lis spowszedniał.

Ktoś pewnie powie, że znowu chamstwo spowszedniało i zwyciężyło, a słabszy ustąpił. A gdy ustąpił, to i przepadł. Prawo dżungli obowiązuje na polach, w mieście, w polityce, w korporacjach, a nawet w kółkach parafialnych, ale w tym przypadku uratowanie szaraków przed wyginięciem należy przede wszystkim do nas. Trzeba to jednak robić z rozwagą i nie na siłę, żeby potem nie było jak w tym dowcipie, kiedy to ksiądz katolicki, pastor i rabin postanowili udowodnić, która wiara ma większą moc nawracania, i jako cel wybrali sobie niedźwiedzie. Powiedzieli, że pójdą do lasu i będą je przekonywać do wiary, każdy do swojej. Dali sobie trzydzieści dni na dokonanie takiego cudu. Po miesiącu spotykają się, tak jak było umówione, u rabina i nasz proboszcz mówi:

– Mój jutro przyjmuje chrzest, bardzo lubi homilie, przy pieśniach sakralnych przestaje być agresywny, no i przede wszystkim u w i e l b i a kropienie święconą wodą.

Na to pastor:

– A mój już się szykuje do bierzmowania. Najbardziej go przekonała przemiana wody w wino. Mało tego, wiecie, czym mnie wzruszył najbardziej?!

– Mów, pastorze.

– ...że, kochani, sam sobie wybrał imię... Bartek... od barci.

I patrzą obaj na rabina leżącego na kozetce i szczelnie owiniętego bandażami, tak że nie widać spod nich żadnego fragmentu ciała. Wreszcie po ciężkim westchnieniu się odzywa:

– A ja sobie teraz tak leżę i myślę, że ja chyba popełniłem błąd, zaczynając od obrzezania.

CZERWIEC 2010



MUCHY I LUDZIE

Wybrałem się na skróty, przez las, do mojego kumpla na piwo. Robi je sam i jest z tego bardzo dumny. Taka moda zapanowała ostatnio. Sami warzymy piwo, sami pieczemy chleby bez jakichkolwiek ulepszcaczy. Sami przygotowujemy wędliny, które potem wędzimy, a u mnie w lesie, w którym przesiaduję, kiedy mam czas, sąsiad mieszkający w Olsztynie hoduje kury i w związku z tym jajka też mam ekologiczne.

To wszystko robimy po to, żeby się nie dać otruć tymi wszystkimi związkami, dzięki którym to, co wkładamy do ust, wygląda na świeże, smaczne i zachęcające do jedzenia. Mało tego, wyczytałem kilka dni temu, że świat jeszcze bardziej idzie do przodu i w amerykańskich centrach handlowych testowany jest jakiś patent, który spowoduje, że gdy trafisz do takiego sklepu, to nagle flanelowa koszula w twoją ulubioną kratę, leżąca do tej pory spokojnie na regale, mrugnie do ciebie jakimś własnym okiem i powie:

– Jestem twoja i tylko tobie przeznaczona, spójrz na rozmiar i numer kołnierzyka, pasuję do ciebie idealnie. A jeżeli mnie zaraz nie kupisz, to najpierw pójde na przecenę, a potem na przemiał. – I po tych słowach spod jej guzików popłyną rześiste łzy.

Co wtedy zrobisz? Nie kupisz? Chcesz mieć wyrzuty sumienia przez zwykłą koszulinę?

Z drugiej półki zaatakują cię spodnie, z innej kapelusik z piórkiem, a w dziale z bronią rzuci się na ciebie sztucer z uśmiechniętą lufą i szepnie przymilnie:

– Jeśli mnie weźmiesz, to nigdy nie spudłuję, nawet gdybyś chciał.

Czy to nie piękna perspektywa dla kogoś, kto do tej pory dziurawił tylko drzewa? Szykują się dla nas ciekawe i straszne zarazem czasy.

Z tą myślą doczłapałem do kumpla, który ma ten browar wyłącznie dla siebie i wybranych przyjaciół. Drzwi otworzył, trzymając w rękach packę:

– Mam nadzieję, że to nie na mnie.

– Nie. Tłukę muchy, ponieważ namnożyło się ich ponad miarę.

– Pewnie też ciągną do słodu. A jakie efekty?

– Dzisiaj póki co pięć. Dwie płci żeńskiej, a trzy to faceci.

– A po czym ty rozpoznajesz płęć much?

– Dwie siedziały na telefonie, a trzy usiłowały się dostać do piwa.

– To schowaj packę – odpowiedziałem – i otwórz nam piwo.

Smakowało wyśmienicie. Na odchodne powiedziałem mu dowcip o niebywalej niemieckiej precyzji, jak to nasz Janek, pracując u bauera pod Monachium, wszedł do obory i powiedział do Hansa, właściciela:

– Matko moja, ile tutaj jest much.

– Dwieście pięćdziesiąt sześć.

LIPIEC 2010



SZARE ŻYCIE SZARAKA

Skrajem drogi kicały dwa zające. Jeden jak z obrazka, drugi też niczego sobie, chociaż urodę szpeciło mu ucho wyraźnie podziurawione śrutem.

– Skąd ta pamiątka? – zapytał przystojniak.

– To pamiątka po Bronisławie Komorowskim, obecnie prezydencie Polski. Piękne czasy. Szkoda, że się skończyły.

– Dlaczego się skończyły?

– Bo odwiesił strzelbę na kołki. Powiedział, że będzie prezydentem niepolującym.

– Szkoda – westchnął przystojniak.

– Dlaczego? – zapytał postrzępiony.

– Bo już nie ma szans pięknie zginąć. Tak to może by i zawitał do nas. Nagonka złożona z samych marszałków województw. Pan prezydent strzela. Ja nadstawiam pierś jak do orderów. On trafia. Ja ginę jak za ojczyznę. BOR niesie mnie do niego na rękach. A potem trafiam na stół jako pasztet polski z zająca według przepisu Grzegorza Russaka. No, żyć nie umierać. A teraz żadnej przyszłości przed nami, ubije nas byle kto i pewnie przyrządzi byle jak.

– I jeszcze być może zje na stojąco.

I pokicały zrezygnowane w pole kapusty.

SIERPIEŃ 2010



BOHDANOWICZ

ŚWIĘCI I KABALARZE

Nie lubię żadnych świętości ani kabalarzy. Takich świętości, które o wszystko się obrażają.

Dawno, dawno temu, kiedy na Mazurach, w Szczytnie, założyłem kabaret GWUŚĆ, była w urzędzie miasta księgowa, która za każdym razem, kiedy odbyła się premiera nowego programu, przychodziła następnego dnia do domu kultury – była obecna na każdej premierze – z pretensjami, dlaczego się jej bezustannie czepiamy, chociaż nie było nigdy ani jednego zdania o niej i jakiegokolwiek księgowości.

Podobnie mamy dzisiaj z tym, co się dzieje na Krakowskim Przedmieściu. Napisałem ostatnio o Smoleńsku i od razu pojawiło się w eterze i w internecie kilku obrażonych i wkurzonych. Jednych ubodło to, że nie zauważam cierpienia, drugich, że nie widzę tych, co chcą całą winę zwalić na Donalda Tuska i Putina, jeszcze innych, że do takiego miesięcznika jak „Łowiec Polski” powinno się pisać tylko o zwierzętach, myśliwych i ochronie przyrody. A ktoś inny napisał, że po prostu nie ma tu miejsca dla takich jak ja Żydów – to znaczy takich, którzy mają swoje poglądy i na dodatek ich nie skrywają.

Gówno prawda. Ludzie żyją po to, żeby mieć swoją wyobraźnię, swój świat, swoje krzyże, które przez całe życie dźwigają, i swoje tragedie pod Smoleńskiem. I to mi nie przeszkadza. Przeszkadzać zaczyna mi wtedy, kiedy jedni zaczynają krzyczeć, że ich wiara musi być i moją wiarą, a ich tragedia to jest także moja tragedia. Bo to nieprawda i w to nie dam się nigdy wmanewrować.

Mój świat jest zamknięty w domu koło Nieporętu i w mieszkanku nad ukochanym jeziorem, na pograniczu Warmii i Mazur, gdzie kilka dni temu widziałem, jak para bielików uczyła orlątko polować na rybę i jak rodzice żurawie spacerowali po leśnej drodze z parą żurawiątek, i to jest to, co zawsze mi będzie zatykać dech w piersiach. I takie obrazki chciałbym oglądać przez resztę mojego życia, a nie idiotów z odbezpieczonym granatem. Histerycy wszelkiej maści i koloru to nie moja bajka, nie mój świat i nie moje życie.

W maju tego roku ukazał się w księgarniach mój tomik wierszy „Byłoniebyło”. I jest w nim taki, który tu wyjątkowo pasuje.

Boże

Nauczyłeś mnie

Tolerancji

Miłości

I pokory.

Mógłbyś teraz

Wziąć się za innych.

WRZESIEŃ 2010

VIVAT RZECZPOSPOLITA



SAM W LESIE

Już drugi tydzień siedzę u siebie w lesie, w rezerwacie, wyrrywając się tylko raz na tydzień do „Szkła kontaktowego”. Myślałem, że wrzesień będzie cieplejszy, ale okazał się zimnym, mokrym i – co tu dużo kryć – paskudnym. Za to grzybów wokół tyle, że po kołpaki i podgrzybki nawet się nie schylam.

Jakiś redaktor w radio mówił kilka dni temu, że tak niesamowity ich wysyp zwiastuje bardzo ostrą i śnieżną zimę. Wiedzą o tym również nasi leśnicy, którzy zęby zjedli na poznawaniu przyrody. Na dodatek tym samym straszą meteorolodzy, a to za sprawą Atlantyku, który się ochłodził albo się ochładza. Tu akurat nie ma jednomyślności. Tak więc trzeba, na wszelki wypadek, dokupić ciepłej odzieży, parę zimowych, przyjaznych butów i czekać do wiosny.

Siedzę w lesie i piszę kolejny tom menelików, składający się z opowiadań o smakoszach niebanalnych win regionalnych, których akurat w tej okolicy nie ma albo nie rzucają się w oczy, bo stąd mam niemal pięć kilometrów do najbliższego sklepu i nie ma sensu iść tutaj, żeby poprosić na „wisienkę”. Większość menelików jest przecudnej urody. Ot chociażby ten.

To zdarzyło się niedaleko mojego osiedla pod Warszawą, gdzie pomieszkuję wtedy, gdy niechętnie opuszczam rezerwat. Tuż obok osiedla mamy sklep. Naprzeciwko sklepu jest skrzyżowanie ulic ze światłami. Któregoś dnia zdarzyła się na nim stłuczka. Facet się zagapił i na czerwonym wjechał stojącemu w tył, ale uderzył tak, że tylko lekko zadrapał lakier i trochę pogiął tablicę rejestracyjną. Mimo to kierowca uderzony wyleciał z samochodu, rzucając jobami tak, jakby się całe auto nadawało wyłącznie do

kasacji. Właściciel sklepu, który mi opowiadał o tym zdarzeniu, wyszedł zobaczyć, co to za wrzaski. Zauważył obserwujących ten wypadek dwóch meneli, którzy przed chwilą kupowali u niego piwo. Podchodzi do nich i pyta, co się stało. Na to jeden z nich:

– A co się miało stać?! Powietrze zgnetli.

Ponieważ jednak moich czytelników interesuje przede wszystkim broń i to, co się dzieje w ich lasach, to i żart będzie o broni.

Nowo przyjęty do służby młody policjant przez jakąś pomyłkę nie otrzymywał z księgowości pensji. Po wykryciu błędu i wypłaceniu mu zaległych poborów wezwał go do siebie komendant i mówi:

– Heniu, cztery miesiące nie dostawałeś pensji, nic o tym nie mówiłeś. Za co ty żyłeś?

– Szefie, myślałem, że jak już otrzymałem broń, to mam sobie jakoś radzić.

PAŹDZIERNIK 2010



ZIELONO IM

Przeczytałem nie tak dawno, że największą atrakcją turystyczną dla zwiedzających nasz kraj Anglików – nie mówię tu o tych facetach, którzy przylatują do Krakowa lub Wrocławia na trzy dni, żeby za półdarmo nachlać się do nieprzytomności, a o tych, którzy starają się poznać i posmakować te miejsca, do których przybyli – otóż jedną z największych frajd dla tych drugich jest spacer po naszych lasach. Niby nic, a przyjemność.

Nie ma co się jednak dziwić, bo większość lasów w Wielkiej Brytanii jest w prywatnych rękach i wchodzić do nich nie wolno. U nas, w którą stronę ruszysz, czy na zachód, czy na południe, zawsze się natkniesz na piękny kawałek zarośniętego drzewami kraju. Kilka tygodni temu jechałem z Malborka do Myśliborza, przecinając północną część Polski, i jechałem bocznymi ścieżkami, bo głównymi w powszedni dzień już się nie da, i to była podróż przez Bory Tucholskie, okolice Człuchowa i Chojnic... Lasy, lasy, lasy i lasy dziesiątkami kilometrów, a ponieważ był to październik w słońcu, więc i drzewa były pomarańczowo-czerwone, i jeszcze na dodatek niebo jak z włoskiej pocztówki. I pomyślałem wtedy, że ja się nie dziwię tym cudzoziemcom, którzy nad noc w krakowskim pubie przedkładają spacer po Białowieży albo gdziekolwiek indziej, żeby tylko zanurzyć ręce w opadające liście.

Dla naszych tubylców las to żadna atrakcja. Las to po prostu las i nic więcej. Dla tych, którzy mają domki na działkach, to świetne miejsce na wyrzucenie worka z odpadkami czy składowisko wszystkiego, od plastikowych butelek po lodówki i pralki, na które też zdarza mi się natknąć

podczas wędrówek. Mieszkańcy gmin graniczących z Puszcą Białowieską nie chcą, żeby rezerwat się rozrastał, a ci, którzy zarządzają lasami, też chcą co nieco z tego uszczknąć. Między innymi podobno krąży po ministerstwach taki pomysł, żeby opodatkować grzybiarzy.

Czas zbierania podgrzybków i prawdziwków to czasami jedyny moment, kiedy nasi rodacy odrywają się od komputerów i telewizorów, żeby odetchnąć świeżym powietrzem i porobić zapasy na świąteczne stoły. I teraz, jeżeli ta idea zostanie zrealizowana, to wyobrażam sobie taką scenę, kiedy to jakaś Maciejowa, która dorabiała sobie do malutkiej renty albo i drobnej emeryturki, wychodzi z zagajnika, a tu strażnik leśny do niej z podręczną kasą fiskalną i podchwytliwym nadzwyczajnie pytaniem:

– I co ma pani w tym koszyku?

– A co ja tam mogę mieć? Grzyby, panie komendancie. Dwadzieścia siedem prawdziwków znalazłam, chociaż oczy już nie te, trzy kanie, koźlaków chyba z pięć i kurek może z pół kilo, ale ile na sztuki, to nie wiem. Mogłam mieć i więcej, panie komisarzu, ale nogi już tak nie niosą, jak to kiedyś bywało.

Na to strażnik:

– Możecie mnie, Maciejowa, nazywać nawet pułkownikiem albo i generałem, ale to na nic się nie zda. Policzymy tak: borowiki po złotówce od łebka, razem dwadzieścia siedem złotych, kanie po siedemdziesiąt groszy, to dwa i dziesięć, koźlaki po sześćdziesiąt groszy, to trzy złocisz, a za kurki piąteczka. To razem będzie trzydzieści siedem złotych i dziesięć groszy.

– O Jezu! A za co?

– Za wzbogacanie się grzybostanem w państwowym lesie. Ale mam dla pani i pocieszającą wiadomość.

– O matko! A czym mnie pan jeszcze chce pocieszyć?

– Otóż jeżeli ma pani przy sobie odcinek renty, to wtedy przysługuje pani zniżka pięćdziesiąt procent, i to będzie osiemnaście pięćdziesiąt pięć.

– Panie kochany, a kto do lasu z rentą chodzi?! Tu się chodzi po to, żeby do niej choć trochę dołożyć.

– A tu, niestety, niespodzianka, i to my pani dołożymy, pani Maciejowa.

Jeżeli ten pomysł wejdzie w życie, to taka rozmowa i takie spotkanie jest możliwe. Ja na wszelki wypadek już teraz opracowałem wariant obronny. Będę zabierał ze sobą dwa koszyki i kiedy mnie dopadną – piszę „kiedy mnie dopadną”, ponieważ lasu nie da się szczelnie ogrodzić, chyba że zyski przeznaczy się na płot – wtedy na pytanie kontrolera: „Co jest w tym pierwszym?” odpowiem zgodnie z prawdą. A na pytanie: „A co w tym drugim?” pokażę koszyk, mówiąc:

- W tym są wyłącznie niejadalne.
- To po co pan je zbiera?
- Żeby odpisać od rachunku.

PS

Wspomniałem tu o Borach Tucholskich, a jak wszystkim zmotoryzowanym pewnie wiadomo, w Tucholi, Człuchowie i Białym Borze jeszcze bardziej obrodziło w fotoradary niż w borowiki. Stoją wszędzie, najczęściej pochowane w tak zwanych śmietniczkach i w różnych przedziwnych miejscach, ponieważ wyobraźnia straży miejskich jest ogromna. A to wszystko dlatego, że władze doszły do wniosku, że lepiej się zarobi na mandatach niż na punktach skupu grzybów. Strach przed tymi urządzeniami jest taki, że kiedy zaproponowałem moim przyjaciółom, by zatrzymać się w którejś z tych miejscowości na obiad, zaoponowali wszyscy.

- Dlaczego nie chcecie tutaj?
- Bo tutaj fotoradar może być nawet w schabowym. Będzie sprawdzał, czy nie za szybko jemy.

Wracaliśmy, pamiętam, do domu wolniutko, tak jakbyśmy się poruszali przez pole minowe, a nie urodzajne lasy. W sklepie koło domu kupiliśmy po wianuszku suszonych grzybów, sprawdzając tylko, czy nie ma na nich napisu „Made in China”.

LISTOPAD 2010



BOHDANOWICZ

WSTĘGĄ SZOS

Jadę, ślizgając się po asfalcie, zastanawiam się, dlaczego zima ciągle zaskakuje naszych drogowców, i słyszę w radio odpowiedź. Śnieg pada po cichu i dlatego można go przegapić, ale za to w lesie jest pięknie. Tak jak i pod lasem, gdzie sarny próbują spod śniegu wygrzebać coś do zjedzenia. Na szosie z Poznania do Warszawy, jadąc kilka dni temu, naliczyliśmy czternaście rudli. Biorąc pod uwagę, że jest to droga nadzwyczaj ruchliwa, stopień ich desperacji w poszukiwaniu trawy łatwej do przełknięcia jest ogromny. Całe szczęście, że większość tej trasy jest już ogrodzona.

W samochodzie, obojętnie jaką rozgłośnię radiową włączymy, wszędzie lament na temat opadów i warunków na szosach, mimo że jest mniej więcej minus siedem. I tak jest co roku, kiedy tylko temperatura spadnie poniżej zera, a śniegu trzydzieści centymetrów. U nas, w lasach wichrowskich na Warmii, nikt nie lamentował nawet wtedy, gdy śnieg sięgał do ramion, a były i takie zimy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. A jeżeli ktoś z sąsiadów marudził, to mój tata, który przeżył dwie wojny światowe, w tym drugą w obozie jenieckim, zawsze mówił:

– A dajcie spokój. Bywało gorzej... – I tym ucinał wszystkie dyskusje.

A jeżeli ktoś zacietrzewił się ponad miarę, używał zdania ostatecznego:

– U ciebie jest tak zawsze: albo słoma za krótka, albo kłos za długi. Nie ma jak dogodzić!

W tamtych czasach takie zdanie w nadleśnictwie było sądem ostatecznym, ale i czasy były inne. Na drodze samochody pokazywały się jeden na pół godziny, czas nie świrował, płynął dostojnie i w miarę pogodnie, bo wszyscy

już chcieli odetchnąć po wojnie i cokolwiek by się wydarzyło, to zawsze był tylko dar boży, nawet jeśli to była choroba czy nagła śmierć.

Teraz tą samą szosą, która biegnie do Bartoszyca i dalej, do Rosji, jadą tiry za tirem, a na niewielkich prostych odcinkach próbują je wyprzedzić auta osobowe. Kierowcy osobówek zazwyczaj posiadają średnie umiejętności prowadzenia, więc czasami wloką się kilometrowej długości karawany ciężarówek przeplatanych małymi autkami, tak że aż strach przejść na drugą stronę do lasu, bo nie wiadomo, co się czai za pędzącym kolosem. Zwierzęta tej świadomości nie mają, dlatego jest tam tak dużo rozjechanych stworzeń. Nie mają szans.

Od wielu lat mówi się, żeby przemieszczać tiry przez Polskę koleją, ale żeby tak się stało, jest potrzebna dobra wola ze strony wszystkich przewoźników. Dobra wola i punktualność. Żeby nie było jak w tym komunikacie:

Polskie Koleje Państwowe ustanowiły nowy, fantastyczny rekord. W pociągu osobowym relacji Przemyśl – Szczecin 28-letnia Katarzyna S. urodziła trojaczki. Katarzyna S., wsiadając do pociągu, nie była w ciąży.

STYCZEŃ 2011



BEZ PUDŁA

Nie tak dawno wdałem się w rozmowę z nowo poznanymi fanami o mojej miłości do lasu.

– A nie boi się pan wieczorem? Przecież musi być w nim niebezpiecznie.

Akurat. W mieście jest straszniej niż tutaj. Przez ulicę do zmiany świateł biegiem, bo nawet na zielonym możesz zostać trafiony przez idiotę, któremu szkoda hamulców. W pobliżu stadionu strach, bo możesz oberwać za niewłaściwy szalik albo fryzurę. Na przedmieściach, szczególnie po zmierzchu, bo można wrócić bez niczego, nawet bez życia. W parku skroją cię z komórki tylko dlatego, że ją masz. W banku naliczą ci podwójnie ratę i jeżeli nie zachowałeś dowodu wpłaty, to zabulisz jak za zboże, a jeżeli go znajdziesz, to i tak będą usiłowali udowodnić, że to ty kantowałeś, a na koniec się obrażą i nawet nie przeproszą. I to się nazywa bezpieczeństwo w mieście?!

Tu, gdzie pomieszkuję, mam pięć kilometrów do najbliższego sklepu i nikomu się nie chce nawet tutaj dojść, bo na trzeźwo nie pójdziesz, a z piwem za ciężko. A nawet jakby się tu doszło, to już nie ma sił ani w mordę dać, ani pozbawić portfela. Poza tym kto z mieszkających tutaj chodzi z portfelem na spacer. Oczywiście i tu też się może coś przydarzyć, bo tak urządzony jest ten świat. W mieście spadnie ci balkon na głowę, tutaj drzewo w czasie wichury, ale stanie się tak dlatego, że nie miałeś fartu tego dnia, po prostu niepotrzebnie wybrałeś się w to miejsce bez widocznego powodu.

– A leśne drogi? Który samochód wytrzyma jazdę po nich? – drążyli dalej,

usiłując mi udowodnić, że jazda po równym jest bezpieczniejsza.

– Jak się jedzie spokojnie, to każdy. Jakiś czas temu w środku miasteczka na Mazowszu rozwaliłem koło, tak że felga poszła do wymiany. I stało się to sto metrów od kościoła, co teraz jest już nie do pomyślenia, i to nie ze względu na poprawę stanu dróg, a z powodu siły przekonywania władzy przez księży, że tu musi być gładko.

Swoją drogą, jeżdżąc po naszym pięknym kraju, używam CB-radia. Na Mazurach – a drogi tu są wyjątkowo kręte – wyprzedziło mnie audi na podwójnej ciągłej, przed ostrym zakrętem. I odezwał się jakiś mobilek:

– Widzieliście tego idiotę? Długo nie pożyje!

W tym momencie odezwał się drugi, z tych okolic.

– To nie jest idiota, to nasz ksiądz proboszcz!

– A co on, śmierci szuka?

Na to ów tubylec:

– Tak się tutaj jeździ, jak biskup wzywa.

Dodatkowo komputery i internet zacierają niektórym różnicę między łąką a kostką Bauma. Z nosem wbitym w ekranik nie mają pojęcia, po czym idą, chyba że padnie zasilanie. Swoją drogą, kiedy przeczytałem ostatnio artykuł „Łowiectwo w internecie”, pomyślałem, że w pogoni za nowoczesnością i komplikowaniem sobie i tak niełatwego życia być może w niedalekiej przyszłości dojdzie i do takiego polowania. I nie mówię tu o grach myśliwskich, bo takie już od dawna istnieją.

„Polowanie na nosorożca”, „Tropienie odyńca” – już to widzę. Myśliwy siedzi w kapciach wtulony w kaloryfer, z jednej strony browarek, z drugiej chipsy z bekonem, i wbity w fotel forsuje krzak za krzakiem w wirtualnej puszczy, potem zmęczony kilkugodzinnym pościgiem zgniata pięć puszek piwa, najlepiej zebra, bo pijąc takie, czuje się jeszcze bardziej na polowaniu, idzie wysikać się do łazienki i robi to tak, jakby stał pod drzewem. Potem idzie spać, szczęśliwy, że w czasie tej wyprawy zastrzelił czterysta dziesięć odyńców, dwadzieścia jeleni i białego nosorożca. Niestety, za karę, że przez nieuwagę nadepnął na lisa, który spał z zającem, gra pozbawiła go reszty

amunicji i dlatego rzuca się na tapczan, wyobrażając sobie, że padł na mech.

Pewnie w niedalekiej przyszłości ktoś, kto będzie miał wystarczająco dużo kasy, włączy internet, zaloguje się na stronie „polowania”, wklepie: „zastrzelę słonia, mam pół miliona dolarów” i otrzyma po pięciu minutach odzew od człowieka, który odpisze: „zrobi się”. Ktoś inny zaakceptuje cenę, ktoś inny potwierdzi, następny uruchomi kamerę i podłączy do niej komputer ze sztucercem, który myszką naprowadzi się na cel. Potem pięć tysięcy kilometrów od polującego rozlegnie się wystrzał – tak głośny, jak w swojej chacie nastawi ten ktoś głośniki. I będzie po słoniku. Przyznacie, że w tym coraz bardziej zwariowanym świecie coś takiego może się wydarzyć. Jeżeli już się nie wydarzyło.

PS

Czytając ostatnio wspomnienia o przyjaźni Ernesta Hemingwaya z Bronisławem Zielińskim, jego tłumaczem, przypomniała mi się plotka, jaka od pewnego czasu krąży po Warszawie, że podobno Nelly Rokita myślała, że „Pożegnanie z bronią” jest książką o prezydencie Komorowskim. Przypominam, że pani Nelly to ta, która twierdziła, że synem Dedala był Ikarus.

LUTY 2011

MAŻ PROSZĘ PANA, MA GRYPE
I NIGDZIE DO LASU NIE PÓJDZIE.
AKTUALNIE POLUJE W INTERNECIE.



COKÓŁ

Wybrałem się na spacer po lesie – tym razem dalej niż zwykle. Dzień coraz krótszy, a tu jeszcze słońce, ani jednej chmurki na niebie i w miarę ciepło, trzeba się nacieszyć pogodą, zanim nadejdą chłody. A znowu prognozują, że zima będzie wyjątkowo surowa. Piszę „znowu”, ponieważ w ubiegłym roku też tak nas straszono.

Wędruję sobie, nie przyspieszając kroku, i nagle w miejscu, do którego jeszcze nigdy wcześniej nie dotarłem, prawie nad samym brzegiem jeziora, zobaczyłem opuszczony przez kogoś cokół, i to nawet solidnych rozmiarów, a więc i coś niemałego musiało na nim stać. Obszedłem go dookoła, ale żadnej tablicy ani napisów nie znalazłem, tylko w niewielkiej odległości dwa drzewka owocowe pełne śliwek mirabelek. A jeżeli są pozostałości sadu, to ktoś tu kiedyś mieszkał. Z tym że musiało to być dawno, ponieważ las dookoła jest ogromny i przykrył ślady po budynkach.

Komu poświęcony stał tu pomnik, nie wiadomo. Tędy podobno szedł Napoleon na Moskwę, ale nie sądzę, żeby go ktoś w ten sposób uhonorował, i to w tym miejscu. Może więc jakiś pruski władca spoglądał z tego miejsca kamiennym wzrokiem na jezioro i oddalony o dwadzieścia kilometrów Olsztyn?

Chyba że sto lub dwieście lat temu stawiano i tutaj takie pomniki jak w dzisiejszej Rosji. Tam na postumentach po strąconych Leninach i Stalinach, zanim pojawi się na nich Władimir Władimirowicz Putin – a ten czas nadchodzi wielkimi krokami – mieszkańcy oddają hołd takim świętościom, że ja bym na to nie wpadł ani na trzeźwo, ani po kielichu.

Stoją więc i pozdrawiają mieszkańców pomniki bezdomnego psa, serka topionego, kuchennego taboretu (który w tym wypadku jest ukłonem w stronę kucharek pracujących na stojąco), ogórka małosolnego (na taki dałbym parę kopiejek), pomniki wódki stojące w wielu miastach, co być może jest nawet subtelną formą protestu przeciwko Putinowi, którego jedyną wadą jest to, że nie pije. Jeżeli wstawimy na te cokoły dodatkowo kaptcie z brązu, krzesło z marmuru i popiersie biustu (to ładne połączenie, które powinno ucieszyć profesora Bralczyka), jeżeli dodamy stojące na nich modele samochodu Moskwicz i aparatury do pędzenia bimbru, być może nawet z wygrawerowaną instrukcją montażu i recepturą, to przyznacie, że nasz kraj, składający się przeważnie z pomników świętych, jest krajem wyjątkowo monotonnym.

Co bardziej doświadczeni Rosjanie, którzy przeżyli pomniki wodzów rewolucji we wszystkich możliwych pozycjach, twierdzą, że oszczędniej postawić na cokole ogórki kiszzone niż wyrzeźbić polityka, którego prędzej czy później trzeba będzie z niego strącić.

W czasach, kiedy obowiązywała tam logika bolszewicka, która znowu powraca, krążył dowcip, jak to na posterunek milicji przyszedł obywatel ze skargą, że ukradli mu rower.

– A gdzie? – zapytał śledczy.

– A tu niedaleko, pod sklepem. Wszedłem i wyszedłem, i już go nie było.

– A dlaczego, towarzyszu, wszedłem i tak od razu wyszedłem?

– Bo w sklepie też nic nie było.

– I tak sobie rower zostawiliście, żeby krytykować radzieckie zaopatrzenie! A czy wiecie, że niczego zostawiać nie wolno?! Widzicie stojący przed naszym komisariatem pomnik towarzysza Lenina z czapką w ręku?!

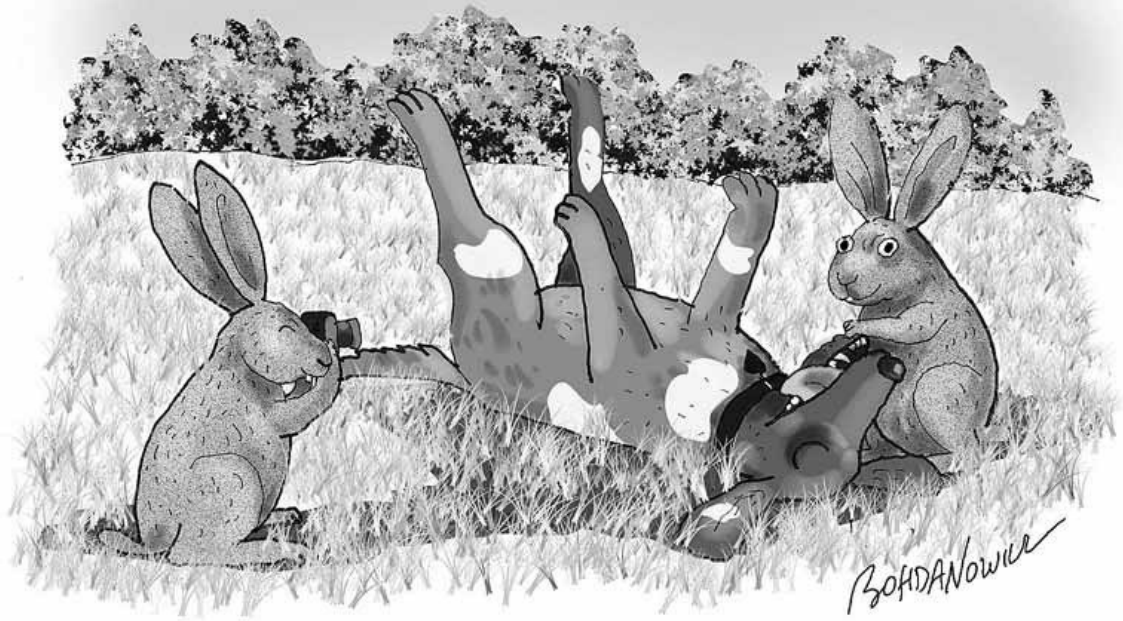
– Widzę.

– A wiecie, dlaczego on na tym pomniku trzyma czapkę w ręku?

– ????

– ...żeby mu i tutaj nie ukradli.

WRZESIEŃ 2011



SPOSÓB NA LISA

Nie sądziłem, że „Łowiec Polski” kiedykolwiek zostanie zakwalifikowany do pism erotycznych. A stało się to przez taki, wydawałoby się, niewinny przypadek. Na stole w jadalni leżał egzemplarz ostatniego numeru, przywalony książką, już nawet nie pamiętam o czym. I wpadł do mnie z sąsiedzką wizytą znajomy. Spojrzał na tę stertę papierów i nagle podnieconym głosem mówi:

– Nie wiedziałem, że czytasz pornosy.

– Jakie pornosy? – zapytałem i zaczerwieniłem się jak przedwojenna pensjonarka przyłapaną na oglądaniu w gabinecie ojca podręcznika anatomii.

– A to kolorowe pismo wystające spod książki?

– A co w nim erotycznego? – I patrzę, a tam rzuca się w oczy tytuł „Dieta zapisana w porożu” i „Lufy nie są wieczne”. – To o broni myśliwskiej i o tym, że jeleniom dieta też wychodzi na zdrowie.

Patrzył z niedowierzaniem, ale kiedy wyciągnąłem na wierzch cały egzemplarz, uwierzył, choć był wyraźnie zawiedziony.

Skąd w takim razie mój tytuł „Sposób na lisa”? Otóż jechałem kilka dni temu nocą ponad trzysta kilometrów i podczas podróży, która trwała pięć godzin, widziałem w światłach reflektorów kilkanaście lisów, jednego borsuka, stado dzików przechodzące przez jezdnię i ani jednego zająca.

Zresztą nie pamiętam, kiedy ostatni raz to sympatyczne stworzenie widziałem na drodze, może rok temu, a może i trzy. Kiedyś szaraki były utrapieniem podróżujących po zmroku, teraz mi ich najwyraźniej brakuje.

Z rozmów ze znajomymi, którzy znają się na lesie, wychodzi, że większość z nich ginie upolowana przez drapieżniki, które mają się w lasach coraz lepiej. Podobnie jest na jeziorach, na których rządzą kormorany rozmnażające się w zastraszającym tempie, a wszystko dlatego, że nie ma odważnego, który by podjął decyzję, żeby znieść – przynajmniej częściowo – ochronę tego ptaka, dewastującego wody prawie całej północnej Polski.

Póki odważnego nie ma, sprzedam najnowszy sposób polowania na rudego.

Znajomy myśliwy pyta drugiego:

– Słuchaj, jak ty to robisz, że masz takie sukcesy w polowaniu na lisy?

– Bo znalazłem na nie sposób.

– Jaki?

– Na chomika.

– Jak to: na chomika?

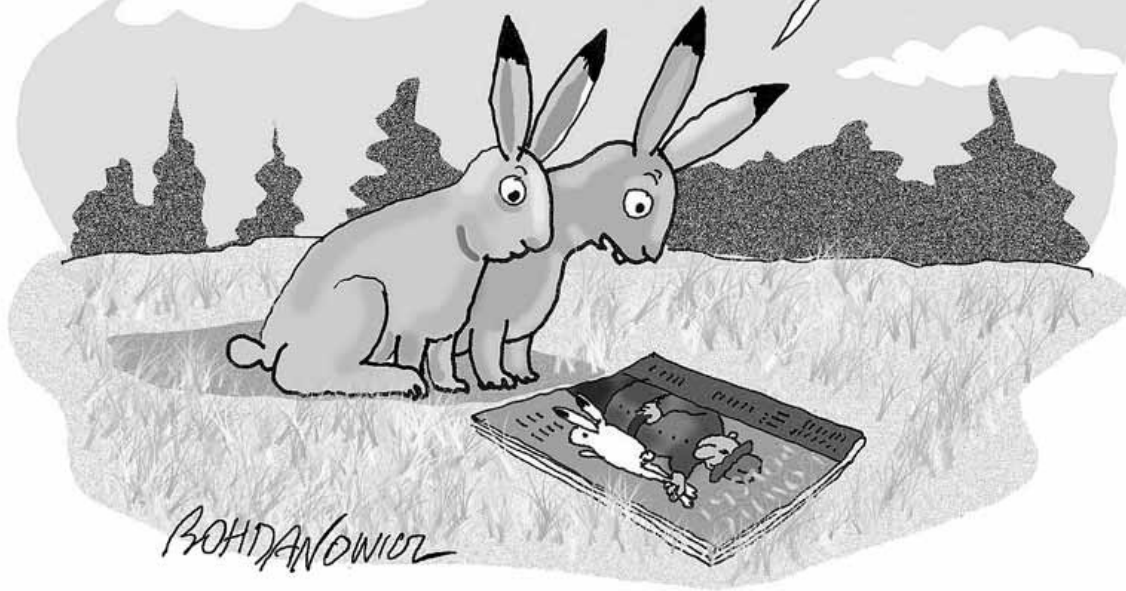
– Normalnie, mam takiego w domu, nazywam go Janek, i kiedy przychodzi chęć na polowanko, zabieram go ze sobą, szukam lisiej nory i kiedy ją znajdę, daję Jankowi pół litra i mówię do niego: „Idź!”. I on tam wchodzi.

– I co dalej?

– Jak to co?! Po godzinie wychodzą, żeby zapalić.

LISTOPAD 2011

ZOBACZ! PRZECIEŻ TO
WUJEK MAURACY.
ZAWSZE BYŁ CELEBRYTĄ.



BOHDANOWICZ

BEZ LUFY

Wyglądam przez okno. Nie ma jeszcze śniegu, ale огоłocony z liści dęb za oknem przypomina, że lada chwila trzeba będzie sięgnąć do szafy po cieplejsze kurtki i odkurzyć zimowe buty. Kiedy mam trochę czasu, idę na spacer – choćby tylko po to, by nacieszyć się tym żółtym dywanem utkanym z liści brzoź, których jest tutaj pełno. Jeśli wpadną kumple – a czasem wpadają – to zabieramy ze sobą piersióweczki na dłuższą wędrówkę, ale tylko po to, by się lepiej szło, a co najważniejsze – żeby nam się nie chciało zbyt szybko wracać. I co równie ważne – bez żadnej broni. To znaczy wcale nie jestem przekonany, czy bez, bo jednak buteleczki ze sobą mamy, a buteleczka to szkło, a szkło rozbite to już niebezpieczne narzędzie w rękach terrorysty, podobnie jak pilniczek do paznokci o długości dziesięciu centymetrów, grubsza żyłka i tak naprawdę to wszystko inne, co Pan Bóg stworzył, a człowiek udoskonalił albo przefajnował. Wszystko może być bronią, pod warunkiem że jest się szaleńcem.

Ponieważ poprzedni Sejm uznał, że wszyscy jesteśmy nienormalni, prócz posłów – ot choćby dlatego, że trwamy tu na przekór wszystkim durnym przepisom – to postanowił wychować przynajmniej myśliwych w trzeźwości, pozbawiając ich przy okazji przyjemności z polowania. Biorąc jednak pod uwagę, jak wiele przedmiotów można potraktować jako broń, rząd uznał, że najlepiej, aby polujący wybierali się do lasu bez niczego: bez papierosów, zapalniczek, sztucerów i amunicji do nich, zostawiając też na wszelki wypadek finkę, kompas i nagonkę, bo po co ona, kiedy nie ma czym polować.

Ja osobiście nie poluję, bo jak powiedział jeden leśniczy: „Panu fuzja jest niepotrzebna, bo najskuteczniej trafia pan śmiechem”. Może i tak, ale jeleni żartu nie zrozumie. Utało się jednak, że słowo też może być narzędziem zbrodni, słowo durne tym bardziej, a słowo durne w ustach durnego staje się szczególnie niebezpieczne, bo durny nie rozumie, że rani. Dlatego proponuję, żeby posłom i senatorom jadącym, a nawet i idącym na obrady też pozabierać jakimś dekretem pierśiówki, bo stanowią oni dla społeczeństwa takie samo zagrożenie, a być może nawet i większe, niż myśliwy bez broni, ale za to z nalewką.

Podobno najbardziej zestresowane są obecnie panie, ponieważ teraz ich mężczyźni wracają z nieudanych polowań trzeźwi, zmarznięci, głodni i źli. Co tu owijać w bawełnę, że źli. Po prostu wkurwieni. Do tej pory było weselej – jak się nie trafiło, a poluje się na trzeźwo, to przy ognisku, już po, walnęło się lufę, opowiedziało kilka dowcipów, pogadało z kumplami, frustracja przeszła, wróciło się do domu, uśmiechnęło do małżoneczki, ta zapytała:

– I jak tam poszło, Heniu?

– Świetnie. Dziki przeszły bokiem, jelenie się nie pokazały, na łanie było za zimno. Ale koledzy w formie i za tydzień znowu jedziemy.

Ta scena obecnie wygląda przerażająco.

– Jak było, Heniu?

– Wszystko do dupy!

I żadnego słowa więcej. Nic, tylko się pochlastać. Wtedy żona wpada w stres, miesięczka się spóźnia i nic już nie jest tak, jak było. To do dupy takie reformy.

À propos tych reform i tego, co usłyszeliśmy w exposé pana premiera, to przypominają mi one taki dowcip. Chirurg przychodzi do pacjenta po amputacji nogi i mówi na dzień dobry:

– Mam dla pana dwie wiadomości: jedna jest dobra, druga zła. Od której zacząć?

– Od złej.

- No to amputowaliśmy panu – za co przepraszamy – zdrową nogę.
- To jaka jest dobra?
- Postanowiliśmy wyleczyć chorą.

GRUDZIEŃ 2011

POLOWANIE... POLOWANIE!

PRZED



PO



WAHAM SIĘ

Pogoda świruje, a więc i przyroda także. Ponieważ z przyrodą jest jak z pedantem, który chce mieć wszystko poukładane i działające z precyzją szwajcarskiego zegarka: 6.00 rano – pobudka, 6.20 – prysznic, 6.40 – sianie łóżka, 7.10 – śniadanie, 14.17 – obiad, 18.00 – ostatni posiłek, potem spodnie i koszulę w kostkę, marynarkę na wieszak, skarpetki do pralki, pasta do zębów, w tv mapa pogody o 20.00, żeby wiedzieć, jak się ubrać następnego dnia o 6.40, i na koniec, jeśli jest wierzący, zmówić paciorek do Bozi, żeby go uczynił jeszcze bardziej porządnym, a jeżeli niewierzący, to na kilkanaście minut puścić jakiś kanał XXL, czyli dla bardzo dorosłych.

Przyroda chciałaby podobnie. Wiosna w marcu, żeby odzyskać wigor po zimie, lato w czerwcu, jesień od września, żeby mieć czas pogubić niepotrzebne liście, potem w grudniu zrobić zaciemnienie, nasypać śniegu i położyć się spać, żeby w tym śnie spokojnie doczekać marca. I tak dookoła Wojtek. Teraz jednak już się w podobny sposób funkcjonować nie da. Pan nieba i ziemi, czyli człowiek, poprzestawiał biegi rzek, wyciął lasy w Amazonii, nawpuszczał aerozolu do atmosfery, zanieczyścił ziemię detergentami, a na koniec jeszcze się zdziwił, że to dzieło jego rąk.

A efekt braku tej regularności w przyrodzie? W moim ogrodzie bzy mają już pąki, a jest dopiero połowa lutego, i wyglądają tak, jakby lada dzień miały się zazielenić. Magnolia obsypana białymi, puszystymi kotkami. A synowie, którzy wracali 3 stycznia po sylwestrze z Mazur do Warszawy, widzieli w okolicach Szczytna ludzi idących skrajem drogi z kobiałką, w której widać było zielonki. Grzyby w styczniu na Mazurach? Słyszał ktoś

o tym wcześniej?

Dzisiaj, kiedy siedzę nad tym tekstem, za oknem jest ponuro, deszcz z zimnym wiatrem wkręca się pod każdą kurtkę i marzeniami razem z żoną Violą jesteśmy w jakimś ciepłym kraju, w którym ja, jak każdy dorosły miś, mógłbym wymościć sobie legowisko pod palmą, na której nie ma żadnych kokosów, żeby przypadkiem nie zginąć głupio na obcej ziemi, wziąć do ręki schłodzone piwko, a drugie zakopać w piasku, żeby nie podrywać się zbyt często po następne, albo dla odmiany zamówić koktajl Malibu, który wprowadzi w dobry nastrój, nie głuszac przy tym za bardzo, i w ten oto wygodny sposób czekać na telefon z kraju, że temperatura nad Bałtykiem i w Tatrach przekroczyła plus osiemnaście stopni Celsjusza.

Żeby wprowadzić się w ten piękny błogostan, zacząłem przeglądać foldery z propozycjami wczasów dla wczesnych emerytów, bo są takowe – a pięćdziesiąt pięć lat, bo tyle trzeba mieć, żeby się na nie załapać, mam już od tak dawna, że muszę brać bilobil, żeby sobie przypomnieć, kiedy to było – i zacząłem się zastanawiać, dokąd by tu wyruszyć.

Hiszpania – nie, bo u nich podobno jest kryzys większy, niż wcześniej sądzono, i mogę dolecieć, a potem długo się starać, żeby wrócić na koszt wojewody, albo nawet i nie przylecieć, ponieważ tamci piloci zapowiadają falę strajków. Portugalia od czasów, kiedy przestała łupić zamorskie kolonie, też nie może się podnieść, bo już nie ma kto na nich pracować. Kraje arabskie broń Boże, ponieważ przez dwa tygodnie będę wtedy żył jak w getcie dla białych chrześcijan. Hotel – basen, basen – hotel i tak na okrągło do końca turnusu.

Wybiorę się do Grecji, to albo trafię na gaje oliwne zbudowane z dykty tylko po to, żeby unijnym komisarzom wszystko się zgadzało, albo nawdycham się dymu z opon. A takie atrakcje mogę mieć za chwilę u siebie pod domem, bo związki zawodowe zamarzyły sobie, żeby każdy był emerytem od pięćdziesiątego piątego roku życia, prawdopodobnie po to, byśmy potem mieli siły jeździć do Hiszpanii, żeby zbierać im pomidory i tym sobie dorabiać.

Chrzanić to! Od tego mam dom, żeby podkręcić kaloryfer i żeby

w chłodniejszy wieczór napalić dodatkowo w kominku. Od tego mam kapcie kupione w Zakopanem, żeby je włożyć, kiedy solidniej ciągnie od podłogi. I od tego mam sklep trzysta metrów od domu, żeby w nim kupić w razie czego likier Malibu, aby i w głowie poczuć ciepłej. A w wolnych chwilach napisać coś dla siebie albo moich fanów. Wszystko po to, żeby nie czuć się jak w tym dowcipie, kiedy to do baru wchodzi Włoch, Hiszpan i Grek.

– Stawiam wszystkim drinka! – radośnie oznajmia Włoch.

– A kto płaci? – pyta obywatel Hiszpanii.

Na to Grek:

– Jak to kto? Niemiec.

PS

Już składając tę książkę, usłyszałem menelik, który mi tu nadzwyczajnie pasuje.

Do sklepu spożywczego wszedł smakosz win regionalnych, najwidoczniej obeznany w trudnych słowach.

– Poproszę ingrediencje do koktajlu Malibu – powiedział do zaskoczonej sprzedawczynie.

– Nie znam ingrediencji do koktajlu Malibu. Czy mógłby pan mnie oświecić?

– Oczywiście! Poproszę denaturat i dwie maślanki.

LUTY 2012



DROGA I LAS

Las to piękna rzecz. Kiedy idę na spacer, spoglądając z góry na moje ukochane jezioro, wydaje mi się, że zostawiam wśród świerków, brzoź i sosen wszystkie swoje lęki, obawy o swoje zdrowie i zdrowie najbliższych, i staram się oddychać inaczej niż w samochodzie, w którym spędziłem jedną trzecią mojego życia, bo dobijam już do dwóch i pół miliona kilometrów spędzonych w trasie. I oddycham inaczej niż w domu i hotelach, gdzie natychmiast dorywam się do książek, gazet codziennych i tygodników, tak jakby mi to coś w życiu dawało poza wiedzą, że znowu ktoś w naszym kraju zdurniał albo najnormalniej w świecie zgłupiał. Zazwyczaj jest to wiedza zbyt duża, która bardziej irytuje, niż odpręża. Las błyskawicznie wycisza i uspokaja.

Co innego by było, gdybym, będąc na spacerze nad moim jeziorem, spotkał marszałka Sejmu Stefana Niesiołowskiego czy europoła Ryszarda Czarneckiego – tu bym się przestraszył bardziej niż konfrontacji z lochą i jej warchlakami. To zburzyłoby moje pojęcie o harmonii z przyrodą. Pierwsza myśl, jaka by mi przyszła do głowy, to że już po lesie. Nie tak dawno pan europoseł po raz pierwszy chyba opowiedział przed kamerami dowcip, zaznaczając od razu, że jest to żart poważny i że nie ma w związku z tym z czego się śmiać. Ponieważ sam jestem człowiekiem niepoważnym, starającym się opowiadać dowcipy, które potrafią rozśmieszyć, zacytuję go, ponieważ nie ma nic poważniejszego niż poważny dowcip, który stanowi, że i my stajemy się poważniejsi.

Opowiadam.

Idzie pan poseł, europoseł, sejmowymi korytarzami w Warszawie, bo tutaj jest zawsze, a w Brukseli bywa. Idzie i słyszy za drzwiami donośne:

– Sto lat! Sto lat!

Pyta więc przechodzącego korytarzem polityka:

– A czyje to dzisiaj urodziny są tak hucznie tu, w Sejmie, obchodzone?

Na to przechodzący:

– To nie są żadne urodziny, to Platforma Obywatelska dyskutuje na temat podniesienia wieku emerytalnego.

W lesie granic wieku nie ma. Żuczek żyje tyle, ile ma żyć. Zajączek w zależności od tego, czy spotka na swojej drodze lisa albo myśliwego, czy nie – to też pożyje swoje. I jakoś to się turla do przodu. Polityk, jeżeli czegoś nie spieprzy, to najzwyczajniej w świecie źle mu się żyje, a szczególnie wtedy, kiedy dobrze żyje się nam. A to wymyśli wyższe albo niższe emerytury; a to zamknie kopalnie po to, żeby później je otworzyć; a to zlikwiduje cukrownie, żeby mu zabrakło cukru; a to spowoduje, żeby jajka były po złotówce, czyli tyle samo, co telefon komórkowy w jakiegokolwiek sieci, i człowiek nie wie później, co mu się bardziej opłaca: czy święcić, czy dzwonić; a to zbuduje autostrady, które pękają po przejeździe każdej większej ciężarówce.

Być może odpowiedź na pytanie o stan naszych dróg kryje się w pewnej historii, którą przeżyłem osobiście. Otóż droga z naszego osiedla do miasta wyglądała przez jakiś czas w taki sposób, że dwa kilometry były gładkie jak pupa niemowlęcia, a następne dwa jak łąka po wiosennym przebudzeniu kretów. I tak przez osiem kilometrów. Stałem któregoś dnia ze znajomym przed sklepem, gawędząc o tym kuriozalnym sposobie budowania dróg. Przysłuchiwał się naszej rozmowie miejscowy smakosz win regionalnych, który wtrącił się, wyłuszczając być może nawet wiarygodną teorię:

– Też rozmawialiśmy z kumplami o tym przypadku i doszliśmy do wniosku, że tę drogę budowały dwie różne firmy. I jedna kradła piasek, a druga asfalt.

I tu nie ma co się dziwić, że wśród zmotoryzowanych od pewnego czasu

krąży dowcip:

Po czym dzisiaj poznać trzeźwego kierowcę na drodze?

Bo jedzie zygzakami, omijając dziury.

À propos gazet, które czytam w hotelach. Miałem kilka lat temu taki przypadek. Był to, wydaje mi się, hotel w Gnieźnie. Mieszkałem tam trzy doby, więc zabrałem ze sobą sporo tej – że zażartuję – „literatury”, żeby znaleźć coś do obśmiania, bo taki mój zawód. Ale miałem ze sobą i laptop, który jakoś wrednie się zawiesił, tak że nie można go było w żaden ludzki sposób odpalić. Pani w recepcji powiedziała, że tuż za rogiem jest sklep i punkt naprawczy komputerów i powinni mi tam pomóc.

To była sobota. Wybrałem się do tego sklepu. Pan, który naprawiał sprzęty, ucieszył się na mój widok, bo okazało się, że jego ojciec jest moim fanem i fanem „Szkła kontaktowego”. Siedzimy, pan coś tam dłubie w laptopie, rozmawiamy o złośliwości przedmiotów martwych i nagle wchodzi do sklepu dwóch sześciolatek. Podchodzą do lady i pytają sprzedawcy, czy mogą wziąć ulotki reklamujące sklep.

– Możecie.

– Wszystkie?

– Nie, tylko po jednej.

– Szkoda – westchnął jeden z nich, wyglądający na przywódcę, bo ten drugi w ogóle się nie odzywał.

– Dlaczego szkoda? – zapytałem z ciekawości.

– Bo zbieramy pieniądze.

– A na co?

– Na resoraki.

– I dużo macie tej makulatury?

– Nie, to dopiero początek.

Pamiętając, że mam w hotelu z pięć kilogramów tego towaru, powiedziałem, żeby przyszli do mnie jutro, w niedzielę rano, o godzinie 10, że mieszkam w tym hotelu, w pokoju 101, i że kiedy powiedzą, że przyszli

do mnie, to pan portier ich wpuści. A na recepcji powiadomiłem, że mogę mieć taką wizytę, bo pewności żadnej nie miałem.

Jest niedziela, punktualnie o 10 mam telefon z recepcji, że przyszli do mnie jacyś chłopcy.

Otwieram drzwi. Stoją. Obaj odświętnie ubrani, tak jakby za moment szli do kościoła albo z niego wracali, i obaj szczęśliwi, że przejechali się windą, co prawda na pierwsze piętro, ale to zawsze winda. Oddaję im dwie ciężkie torby gazet i pytam, ile już mają kasy na te resoraki.

– Ja złotóweczkę i dwadzieścia siedem groszy – mówi ten milczący.

– A ja nic – odpowiada przywódca, jak to zazwyczaj przywódca, który chce się przez rządzenie dorobić.

– To w takim razie oprócz tych gazet dostaniecie jeszcze ode mnie po dziesięć złotych, żebyście mieli kasę na dobry początek.

Wtedy ten rezolutek nabrał powietrza w płuca i powiedział:

– Pani na dole nam mówiła, żebyśmy byli grzeczni, bo pan jest wielkim artystą, ale ja nie wiedziałem, że aż takim!

Natomiast ten milczący po chwili okazał się całkiem niezłym negocjatorem, ponieważ czując się pewniej, zapytał:

– A moglibyśmy z panem przejechać się windą?

KWIECIEŃ 2012



MOJE PSY

Mam psa – seter gordon, suczka. W moich warszawskich domach od samego początku były setery. Najpierw irlandzki – Kama, która w poprzednim wcieleniu była najwyraźniej damą, i to z dobrego, arystokratycznego domu. Nawet kiedy biegła, nie było w tym biegu chaosu, niepotrzebnych zwrotów, podskoków i wszystkiego, co normalny pies wyczynia na spacerze. Nie kopała dziur, a jeśli już coś obwąchiwała, to tak, jakby dotykała nosem płatków róży. Nie waliła cielskiem o podłogę, tylko osuwała się z gracją na ziemię. I najchętniej siadała na tarasie, delektując się widokiem fruujących ptaków. Szczekała tylko wtedy, kiedy za długo sama siedziała w domu, i też nie było to rozdzierające serce zawodzenie, tylko takie „hau, hau”, które najprawdopodobniej w psim języku oznaczało: „Nareszcie, i nie róbcie mi tego więcej”. Kochała wszystkich i panicznie bała się kotów.

Pierwszy, który trafił do naszego domu, nazywał się Nabiałek, choć był czarny jak noc listopadowa. Takie imię otrzymał, gdy za cenę życia i śmierci usiłował w sklepie spożywczym dostać się do mleka. Sprzedawczyni cały czas zrzucała to maleństwo z pojemnika, a na uwagę mojej Małgosi, że tak nie wolno, powiedziała ze złością:

– To zabierzcie to gównno ze sobą. – I patrząc na moją żonę, dodała: – Matka Teresa się znalazła!

Kiedy przynieśliśmy Nabiałka do domu, Kamcia, widząc tego dwudziestopięciocentymetrowego potwora, wbiła nos w kąt pokoju, choć właściwie wbiła się w ten kąt cała, i przez pierwszą godzinę siedziała tak, że nie drgnął jej nawet jeden mięsień na pysku i nie poruszył nawet jeden włos

na ciebie. Po prostu nie było psa, tylko ruda plama na ścianie. Potem się z Nabiałkiem pokochały i kiedyś byłem nawet świadkiem ich kooperacji, kiedy to Nabiałek, który bardzo szybko okazał się kotką, wlaź na wysoką półkę, ściągał z talerza przygotowane do smażenia kotlety i zrzucił je na ziemię. Kama brała je delikatnie w pysk, przносиła tak jak ledwo co urodzone szczenięta, kładła w ustronnym miejscu i pilnowała, leżąc przy zdobyczy. Kot zleciał na dół, zjadł tyle, ile zdołał, i dopiero resztą zajęła się sunia.

Drugim seterem była Tusia, czyli Anta. Tym razem seter lawerak, biały w czarne plamy, przepięknej urody, w poprzednim życiu zdecydowanie modelka. Kiedy pojawiał się w naszych drzwiach facet z aparatem fotograficznym w ręku, natychmiast była przy mnie i tylko patrzyła, co ma zrobić.

- Usiądź przy mnie... – Już siedziała.
- Połóż się... – Leżała po sekundzie.
- Głowa na kolanach... – I natychmiast ją miałem.

Tylu zdjęć, które się ukazały w gazetach z pozującą Tusią, dla której byłem tłem, nigdy potem nie miałem. I co w tym wszystkim było najdziwniejsze, to fakt, że nigdy nie była szkolona, a rozumiała wszystkie polecenia.

Rozbawiła mnie kiedyś historyjka na podobny temat, to znaczy jak pies potrafi kombinować po swojemu.

Była szkółka, gdzie na lekcjach uczono psy, że na komendę „Nie rusz!” mają nie ruszać nic, co leży przed ich pyskiem. I po kilku tygodniach takich ćwiczeń przed każdym uczniem położono po kawałku kiełbasy. Padł rozkaz: „Nie rusz!!!”. Psy leżą, ślina im cieknie z pyska, ale jak rozkaz, to rozkaz, nie dotykają... I nagle wstał jeden z nich, baset, zjadł kiełbasy całego towarzystwa, potem spokojnie wrócił na swoje miejsce i dalej pilnował swojej porcji.

Obecna sunia Bercia, od imienia Beronia, seter gordon, czarna, to absolutny żywioł. Kiedy wracamy do domu, nawet po kilkunastominutowej nieobecności, z radości skacze tak, że nie odbija się tylko od sufitu. A jak

pyskuje, kiedy zostanie na dworze, a nas poniesie gdzieś na dłużej. Pysk jej się nie zamyka co najmniej pół godziny. Nawet kiedy dostanie coś na osłodę, na pocieszenie, to najpierw opieprzy, a dopiero później zje. Drzwi wejściowe do domu od sześciu lat wyglądają jak po ataku brygady antyterrorystycznej. Klamki w całym mieszkaniu wiszą na włosku, rysa na rysie w twardym, mahoniowym drewnie i nawet zawiasy już dogorywają.

Bercia prawdopodobnie w poprzednim życiu była przy mężu.

À propos psich imion. Jedna z pań opowiedziała mi, jak to na spacerze z psem zaczepił ją smakosz jaboli.

– Jak się wabi to cudeńko? – zapytał.

– Ajax.

– Czyżby pani była kibicem tej holenderskiej drużyny?

– Nie, proszę pana, to jest imię znane z mitologii. I mam jeszcze drugiego pieska.

– A ten jak się nazywa?

– Zeus.

Na to menel:

– No to się pani sporo naczytała.

MAJ 2012



PIES
NA KACZKI

PIES
NA LISY

PIES
NA DZIKI

PIES
NA BABY

BOHDANOWICZ

PODWÓJNE ŻYCIE KOTA

Tekst „Moje psy” wielu czytelnikom „Łowca Polskiego” bardzo się spodobał – o czym mogą świadczyć otrzymane e-maile – ale w jednym z nich osoba ukrywająca się pod pseudonimem „Rącza Łania” zadała mi pytanie: „A jak u pana z kotami? Pewnie, będąc psiarzem, nie cierpi ich pan?”.

Pisałem już o Nabiałku. Była to kotka, która kompletnie nie bała się psów. Nie było takiego, który by jej podskoczył. Pamiętam, jak w naszym domku letniskowym na Mazurach pojawiła się przyjaciółka Kasia ze swoją seterką Uną, złotą medalistką, która w tym samym mniej więcej czasie puściła się z połową Żoliborza i urodziła potem osiem szczeniąt tak nieprawdopodobnie różniących się od siebie, że najmniejszy przypominał lisa, i prawdopodobnie nim był, ponieważ kiedy wydorósł, w ciągu jednej nocy wydusił sąsiadowi wszystkie kury.

Mieliśmy więc nieprawdopodobny wybór szczeniąt – od wspomnianego lisa do metrowej wielkości bernardyna. Pośrodku było sześć innych, przypominających basety, wilczki, kundle i Bóg jeden wie co jeszcze, ale to było potem, i w wyniku tego mezaliansu otrzymałem Strzałkę, połączenie setera z wilczkiem. Zanim to nastąpiło, Una weszła do nas i nieopatrznie skierowała się do Nabiałka. Ta, nie cofając się nawet o centymetr, wbiła jej całą łapę w nos, zostawiając jej jeden pazur na pamiątkę.

Tego, co się zaczęło dzieć chwilę później, nie da się opisać w żaden ludzki sposób. Una najpierw wczołgała się pod stół, który miał dodatkową półkę na wysokości dwudziestu centymetrów, i kot próbował ją spod tej półki wyciągnąć. W tym czasie nasza suczka Tusia skoczyła Małgosi, mojej żonie,

na kolana, objęła ją łapami za szyję i w ten sposób czekała na nadchodzący koniec świata. Po minucie albo i dwóch wyciągnęliśmy biedną Unę spod stołu i wspólnymi siłami wyprowadziliśmy za ogrodzenie. Od tej chwili już nie chciała za żadne skarby wejść na naszą działkę. Wtedy pierwszy raz w swoim życiu widziałem, jak pies potrafi zapierać się łapami o płot.

Siostrzeniec, który przyjechał jakiś czas później ze swoim terierem, już od progu poinformował mnie i całe zgromadzenie, żeby coś zrobić z kotem, bo jego pies to killer, nienawidzi wszystkiego, co się rusza, a jego ulubionym przysmakiem są koty. Nabiałek w czasie tej ostrzegawczej przemowy leżała na trzecim schodku ze spuszczoną łapą i już nonszalancko wypuszczonymi pazurami. Tabs popatrzył na nią, spojrzął na przygotowaną do rzezi łapę, położył się obok pana bez jednego zbędnego i prowokującego ruchu i do końca wizyty trwał nieruchomo, nie podnosząc nawet powieki. Wyczuł swoim psim instynktem, że istnieją na świecie żywioły, z którymi nie wygrasz. Mirek, właściciel psa, wychodząc od nas, powiedział tylko dwa słowa:

– Coś podobnego?!

Raz tylko widziałem strach w jej oczach. Wpadł do nas z wizytą przyjaciel, kapitan żeglugi dalekomorskiej, ze swoim nowofundlandem. Wszedł z nim do kuchni, kiedy akurat urzędowała na stole. I wtedy zobaczyłem, jak błyskawicznie spada ze stołu, ale nie na cztery łapy, jak to koty mają w zwyczaju, tylko na plecy, z łapami sztywno uniesionymi do góry. Spadła i leżała nieruchomo, czekając na śmierć. Nowofundland podszedł do niej, obwąchał i przejechał jęzorem szerokim jak łopata, a potem siadł przy nogach Marka kapitana jak gdyby nigdy nic. Nabiałek trwała tak w pozycji nieboszczyka do chwili, kiedy monstrum wyszło z kuchni. Rozmiar psa ją poraził. Z takich dodatkowych jej umiejętności to było jeszcze otwieranie lodówki jednym pazurem i częstowanie tym, co w niej było, psów, które z nami zamieszkiwały.

Potem, kiedy przenieśliśmy się za Warszawę, mieliśmy kotów w pewnym momencie sześć. Trafiały do nas parami. Najpierw były Laura i Filon, którą to parę przyniósł ze szkoły syn, ponieważ ktoś dał ogłoszenie, że albo się

znajdzie nowy właściciel, albo zostaną uśpione. Właściciel się znalazł. To był Grześ. Laura była kotem żyjącym w ciągłym stresie, że ktoś chce jej nieustająco zrobić krzywdę. Poruszała się jak zwiadowca na wojnie, czołgając się pod meblami i między kwiatami. A Filon to kot, który rządzi domem do dzisiaj.

Druga para, która nie pobyła u nas zbyt długo, to Ernest i Agresia, czyli Agresja. Te cały czas szwendały się po okolicy i okolica je załatwiła. Ernest i Agresia żyły z fantazją, ale krótko.

Potem pojawiły się Zaraza i Popłoch. Zarazka w bardzo mroźny dzień zimowy zaczęła łapami walić w oszklone drzwi naszego domu, nie zwracając uwagi na to, że w środku aż się roi od psów i kotów. Wrzask, jaki czyniła, żeby dostać się do ciepła, wywołał w nas myśl, że tym razem my zostaliśmy wybrani. Przyglądając się jej, dostrzegliśmy ukrywającego się pod drzewami drugiego kotka, który wyraźnie nie miał takiej odwagi jak Zarazka i przez cały następny dzień nie dawał się pojmać, choć wabiliśmy go na różne sposoby. Dopiero pod wieczór dał się skusić miseczką mleka. I tak zagnieździł się u nas Popłoch, najpiękniejszy kot, jakiego miałem w życiu. Kiedy urósł, miał pół metra albo i lepiej długości, umaszczony był jak tygrys i chodził jak tygrys. Ginał często na dzień lub dwa, ale kiedy wracał do domu, wślizgiwał się do niego brzuchem do góry, żeby jak najmniej stracić z pieszczot, a był rozpieszczany przez wszystkich. Zarazka w tym czasie prowokowała wszystkie psy w okolicy, znęcając się nad nimi w nieludzki sposób, aż z jednym jej się nie udało i teraz biega po osiedlu bez ogona, machając jego kikutkiem.

Popłocha też już nie ma, wpadł pod samochód, przebiegając przez drogę. Tydzień czy dwa później przyszła do naszego domu pani mieszkająca kilka ulic dalej z pytaniem, co się z nim dzieje, ponieważ od kilku dni jej nie odwiedza. Okazało się, że prowadził podwójne życie. Mieszkał u nas i pomieszkiwał u tej pani. Kiedy spytałem, czy również do niej wchodził słynnym stylem grzbietowym, powiedziała, że nigdy się to nie zdarzyło, dał się pogłaskać, ale bez przesady, miał swoją miskę i dwa kotki, z którymi lubił się pobawić, tak jakby im ojcował po powrocie z delegacji. I wtedy

zrozumiałem, że kot jest jak człowiek, chce mieć kogoś, kto mu daje marchewkę, i kogoś, kogo trzyma pod butem.

CZERWIEC 2012



NA GRZYBACH

Chodzę od kilku dni po lesie i zbieram grzyby, choć jest piekielnie gorąco. Chodzę i zbieram, bo nie chcę kupować od tych, co stoją przy drogach. W moim koszyku przeważają dzisiaj kurki i kołpaki. Zbieram do koszyków, bo nie cierpię foliowych torebek, w których grzyby po dwóch godzinach nie nadają się do jedzenia.

Chodzę, zbieram i cieszę się, że mi nie odbiło oszczędzać w Amber Gold, w którym pan Marcin P. trzymał trochę złota, żeby tym, co zapukają do jego drzwi, pokazać przez szybkę, jak wygląda sztabka, której zostaną szczęśliwymi posiadaczami. To podobno każdego podnieca. Każdego oprócz Violi, mojej żony, która jest na złoto uczulona, i mnie, ponieważ ten kruszec nie robi na mnie żadnego wrażenia. I dziękuję Panu Bogu za to, bo inaczej może też bym się nabrał na ten prezent z parabanku, przypominający piękną piramidkę. Teraz szukają winnego odpowiedzialnego za ten cały bałagan. Podobno jest to jakiś kurator, który miał nadzorować Marcina P., a nie prokuratorzy i sędziowie. Pewnie pan kurator zdziwił się bardziej od tych, którzy oberwali po kieszeni.

Czasem zastanawiam się, jak to jest, że gdy mój syn zerwał umowę z telekomunikacją, to ta jeszcze przez dwa miesiące udawała, że takowa istnieje, a potem przesłała narosły tylko w sobie wiadomy sposób dług w kwocie trzystu osiemdziesięciu złotych do windykatora, który przysłał pismo, że jeśli w ciągu tygodnia dług nie zostanie uregulowany, to przyjdzie komornik. Do właściciela Amber Gold powinien zaglądać co najmniej dwa razy w tygodniu tylko za długi poprzednie, a w tym przypadku szedł, szedł

i nie doszedł.

Prawdziwków i koźlaków jeszcze jest mało, trafiają się sporadycznie, zresztą może za słabo się przykładam i nie szukam dokładnie. Chce mi się dzisiaj najnormalniej w świecie łązić po lesie, nałykać się czystego powietrza przed nadchodzącą jesienią, której nie cierpię, jak również zimą, której nie znoszę jeszcze bardziej.

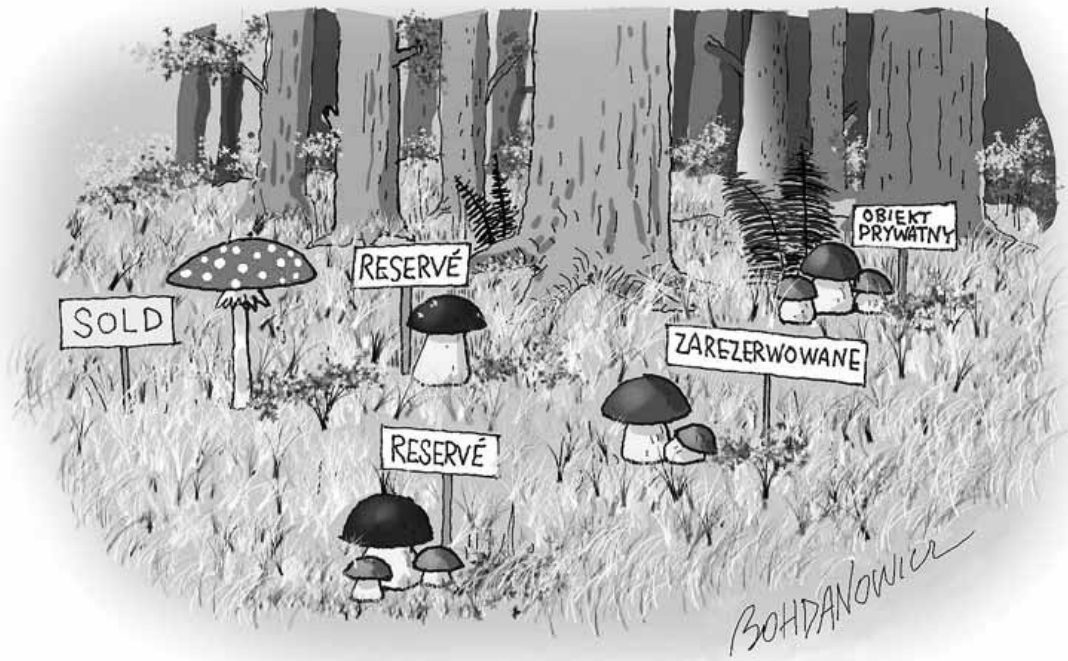
Wróć w takim razie do oszczędzania. Dla rozrywki postanowiłem policzyć, ile mogę zarobić, oszczędzając w solidnym, znanym z uczciwości banku, który proponuje cztery procent zysku, wmawiając mi, że lepiej zarobić już nie można ani w kraju, ani za granicą. Zaniosem, pomyślałem, tysiąc złotych i zdeponuję je na dwanaście miesięcy, czyli po roku będę miał czterdzieści złotych do ręki. Zysk mały, bo mały, ale jest. Ale zaraz, zaraz, zapomniałem o podatku Belki. To osiemnaście procent od czterdziestu, odejmujemy więc siedem złotych, czyli mamy trzydzieści trzy. Ale zaraz, zaraz, zapomniałem, że jest inflacja, trzy procent. Inflację trzeba liczyć od tysiąca, więc musimy od czterech dych odjąć trzydzieści. Jaki zysk mam na czysto? Trzy złote. A jeśli ten tysiąc złotych zawiozę autobusem i odbiorę, też przyjeżdżając środkiem komunikacji miejskiej, to będę miał jakieś trzy złote w plecy, bo zapłacę jeszcze za bilety. To czy mi się opłaca w ogóle wyciągać ze skarpety tę kasę, na której zarobi Ministerstwo Finansów, bank i MPK, czyli wszyscy, tylko nie ja? Po jaką cholere poszedłem do tego lasu?

Wygląda na to, że dylemat, czy oszczędzać w bankach, czy parabankach, przypomina pewnego biznesmena, który był znany w środowisku z tego, że nie lubił płacić długów. Nie dość, że nie lubił, to jeszcze ich nie płacił. I któregoś dnia jeden z jego przyjaciół – bo kilku mu się jeszcze ostało – zastał go przy ubijaniu interesu, kiedy targował się bardzo zawzięcie o cenę ze swoim dostawcą. I już po targach przyjaciel wziął go na stronę i pyta:

– Po co ty się tak targujesz? Przecież i tak wiadomo, że mu nie zapłacisz.

– Wiesz co, to jest bardzo solidny, porządny i uczciwy przedsiębiorca. Dlatego wolę, żeby stracił choć trochę mniej.

WRZESIEŃ 2012



NA SKRÓTY

Rok w mojej okolicy jest tak bezgrzybny tym razem, że zacząłem się zastanawiać, czy ja przypadkiem nie oduczyłem się zbierać grzybów. Aż nagle wczoraj pojawiły się, i to w nadzwyczajnej mnogości. I koźlaki, i prawdziwki, i miodówki, nazywane na Wileńszczyźnie muchowikami, i kołpaki czy turki, które w lasach wichrowskich nazywane są też niemcami przez kapelusze przypominające szwabskie hełmy... I grzybiarze.

Nastąpił wysyp i las odżył, a raczej zaczął żyć odgłosami, do których tu nie jestem przyzwyczajony: „Hop! Hop! Marysiu, gdzie jesteś?!”, „Tuuuuuu!!! A tyyyyy?!”, „Ja tu!!!”. I teraz zgadnij, gdzie jest to „ttttuuuuu”, w której części lasu czy zagajnika, który ma kilometr w każdą stronę. Nie ma roku, w którym nie kojarzyłbym takich par, a najczęstszym pytaniem zguby jest: „Przepraszam, jak się idzie do szosy?”. Lub: „Czy widział pan może taką niewysoką kobietę ubraną w niebieski sweterek? Umówiliśmy się na krzyżówce pół godziny temu, stoję, czekam, a jej nie ma. Nawet nie słychać”. A kiedy ruszamy na poszukiwanie zguby, okazuje się, że ona stała na krzyżówce, ale dwa kilometry dalej.

Jakieś trzy lata temu spotkałem amatorkę grzybobrania chodzącą po lesie w koturnach. Chodzącą to za dużo powiedziane. Usiłującą utrzymać pion.

- Chyba pani przesadziła, idąc w takich butach na grzyby.
- Włożyłam koturny, ponieważ koleżanki mi powiedziały, że w szpilkach się nie da chodzić.

Nawet chyba bym podziękował tym koleżankom, ponieważ styl poruszania się po lesie w wykonaniu tej pani był wart wszystkich pieniędzy. Ten balans

ciałem, to pokonywanie przeszkód, ta walka o utrzymanie równowagi przebiły wszystko, co wyczyniali aktorzy w filmie „Kac Wawa”. Po takiej wędrówce lasem już żaden pobyt w fitness clubie nie jest potrzebny, co najwyżej przyda się wizyta u lekarza, żeby zlikwidować zakwasy.

Ale czasy błędzenia po lasach odchodzą powoli do lamusa. Wyczytałem, że w butach nowej generacji o pięknej nazwie „Nie ma to jak w domu” jest takie urządzenie, że nie ma możliwości, byśmy do niego nie trafili. Nie zabłądzimy nigdy, nawet jeżeli będziemy w Indiach, a mieszkamy w Olsztynie. Odbiornik GPS jest zamontowany w pięcie lewego buta i aktywuje się go lekkim puknięciem. Z przodu znajdują się ułożone w krąg diody LED i one, niczym kompas, wyświetlają kierunek. Na prawym bucie diody są ułożone w linii prostej, a liczba światełek informuje o dystansie, jaki trzeba pokonać, idąc do swojej chatynki. Dodatkowo im bliżej domu, tym buty mocniej świecą.

Opowiedziałem o tym wynalazku mojemu najstarszemu synowi, który najpierw się uśmieł, a potem zadał pytanie:

– A co będzie, jak na przykład pojedziesz do Rumunii i ci ukradną buty razem z samochodem?

– No cóż – odpowiedziałem po chwili zastanowienia. – To wtedy w naszym domu możemy spodziewać się gości.

LISTOPAD 2012



BOHDANOWICZ

PAJĄKI

Tak obfitującego w pająki roku jeszcze w moich okolicach nie miałem. Chcąc przejść z tarasu do ogrodu, muszę brać miotłę albo inne narzędzie, żeby zrobić sobie ścieżkę do oczka, by nakarmić rybki, bo inaczej po przejściu dwudziestu metrów jestem cały owinięty pajęczyną. Gdybym był trochę lżejszy, a sieć grubsza, to nie miałbym żadnych szans dojść do celu.

Jedyna korzyść z tego pajęczego szaleństwa jest taka, że komary w tym miesiącu nie były w stanie dolecieć do naszego domu. Ten, który dotarł, witany był jak bohater, który na froncie przedarł się przez zasieki. I takiemu komarowi nawet nie było szkoda oddać trochę krwi.

Podobnie jest w lesie, po którym chodzę, szukając niedobitków grzybów, które nie chciały obrodzić w tym roku. Chodzę jednak i szukam, ale wystarczy, że stracę czujność, popatrzę w dół przez kilkanaście sekund i już mam twarz w pajęczynie, a nawet i pająka we włosach, a nie jest to uczucie zbyt miłe.

Mój kumpel Tolek Muracki wpadł na kilka dni w te strony i zostawił przez nieuwagę otwarte drzwi w swoim samochodzie. Ma auto z rozsuwanymi drzwiami i jedno zapomniał zasunąć. Kiedy wyszliśmy rano na podwórze, okazało się, że cała niezamknięta przestrzeń samochodu była zabezpieczona gęstą siecią od góry do dołu, na dodatek ozdobioną kropelkami rosy. Tak, widok tego arcydzieła był bajeczny. Zastanawialiśmy się, jak ten cwaniak tego dokonał w kilka zaledwie godzin. Wyglądało tak, jakbyśmy trafili na jednego z przodowników socjalistycznej pracy, który wiedział, kto to był Wincenty Pstrowski, który wyrabiał po kilkaset procent normy.

Bardzo często zastanawia mnie i wprowadza w zachwyt niesamowita biegłość, precyzyjność i kunszt tych niewielkich stworzonek. Sieć na kilka metrów średnicy, idealna wręcz symetria i do tego ta niebywała pracowitość. Ile taki pajak musi pokonać metrów i jaką ekwilibrystykę uprawiać, żeby w ciągu jednej nocy zbudować takie sidła. Jeżeli mogę, to omijam je w lesie, z czystej przyzwoitości i przez najzwyklejszy w świecie szacunek dla wysiłku kogoś innego, i myślę, jakby cudownie było mieć takich budowniczych autostrad, dróg ekspresowych i budynków. Pracując w takim tempie, w rok podciągnęlibyśmy autostradę pod Pekin, a do krajów bałtyckich śmigaloby się przez most nad Bałtykiem zbudowany w miesiąc. Niestety, jesteśmy tylko ludźmi, na dodatek Polakami, i w zezwoleniach na budowę czegokolwiek zajmujemy obecnie sto sześćdziesiąte dziewiąte miejsce na świecie i nawet nie wiem, kto jest jeszcze za nami. Może Mozambik, może Mołdawia, bo już nie jestem pewny, czy Rumunia.

Miało być „przyjazne państwo”, ale okazało się, że do takiego eksperymentu jest jeszcze potrzebny przyjazny urzędnik i tak samo przyjazny poseł, a to już jest ponad siły każdej władzy. Bo jak się w różnych kuluarach mówi: „Przyjaźń tak, ale nie do przesady”.

Tempo wszystkiego, co się u nas do tej pory dzieje, przypomina żart, dla niektórych sucharek, ale za to pasujący do naszej rzeczywistości.

Dzwoni telefon.

– Halo!!! Dzień dobry!!! Dzwonię do państwa z przedszkola numer sześć, obecnie Skrzatki Ojca i Matki. Dzwonię, bo zwalnia się jedno miejsce, a państwo, z tego, co mamy zapisane, chcieliście do niego zapisać swojego synka Jasia. Z tego, co przeczytałam, to do starszaków. I takie miejsce mamy.

– Dziękujemy za pamięć, ale nasz syn od miesiąca jest na studiach.

PAŹDZIERNIK 2012



NIEMOŻLIWE JEST MOŻLIWE

Byłem na bardzo przyjemnym spotkaniu klubu myśliwskiego Hubertus w Warszawie. Wszedłem z niego wyposażony w kieliszek na rzemyku, noszony na piersi, „Księgę Hubertusa” i solidny kawał salcesonu z dziczyzny. Po powrocie do domu sprawdziłem, jak się łączy to, co w kieliszku na rzemyczku, z tym, co w salcesonie, przy czytaniu owej księgi. Okazało się, że wybornie.

Na tej biesiadzie, pełnej najwyborniejszych nalewek, kilka osób znów mnie pytało, czy poluję. A jeżeli tak, to gdzie. Nie, nie poluję. Jestem podobny do pewnego kamieniarza, który w jednej z gazet opowiadał o swoim bogatym życiu, w którym został myśliwym. I tenże pan, jeżdżąc do swojego domu na wsi, zabierał ze sobą za każdym razem dubeltówkę, z którą od czasu do czasu przechadzał się, nie wychodząc za ogrodzenie. Pewnego dnia przyuważył go na takim spacerze znajomy leśniczy, który powiedział:

– Jak chcesz coś upolować, to lepiej wyjdź za ogrodzenie.

Temu panu sprawiała przyjemność świadomość, że może pójść na polowanie, ale nie musi.

Moi domownicy też mówią, że największą przyjemność sprawia mi wiosenne odkurzanie wędek i przynęt. To jest obrządek, który wykonuję co roku i za każdym razem z taką samą radością. Musi być wtedy słoneczny, ciepły dzień. Koło południa wynoszę ten cały sprzęt na odpowiednio nagrany taras, rozkładam ten cały bałagan na stole, który jest duży, ale i tak po chwili nie ma na nim wolnego miejsca, i układam wszystko porządknie,

przecierając przedtem szmatką. Potem, już po pierwszym wędkowaniu, wszystko wraca do normy, czyli nic nie leży tam, gdzie powinno leżeć. Ale gdy trwa ten cudowny moment, ten magiczny czas przecierania kołowroteków ściereczką z najlepszej irchy, kiedy to spławiki idą do odpowiedniej przegródki, a haczyki do swojej szufladki, kiedy jeszcze oczyma wyobraźni widzę, co na nie złapię, to nie ma takich pieniędzy, za które bym zrezygnował z tej przyjemności. Podobnie ma wielu myśliwych, z którymi rozmawiałem.

Wróćmy jednak póki co do salcesonu z dzika. Kroję go sobie po kawałeczku, rozkoszuję się każdym kęsem i nagle słyszę głos mojej Violi:

– Pewnie dobre, ale nie spróbuję, bo dla mnie jest za tłuste.

– Wszystko, co dobre, jest tłuste – odpowiedziałem filozoficznie i już miałem ukroić następny plaster, kiedy nagle w gazecie leżącej na stole zauważyłem artykuł, a w nim wyniki badań szwedzkich uczonych, którzy wykryli, że większa ilość tłustego mleka i śmietany, jak również masła, daje mniejsze ryzyko otyłości, niż kiedy usiłujemy żołądkowi udowodnić, że krowa daje mleko o zawartości 0,0% tłuszczu.

– Ja cię pierniczę! – powiedziałem do siebie, potem otworzyłem drzwi lodówki, wyjąłem z niej trzydziestosześciprocentową śmietanę, kopiastrą jej łyżkę położyłem na kolejny kawałek salcesonu, a ten na pajdę chleba z zielonymi oliwkami w środku, i w taką kanapkę wbiłem zęby. Matko moja, jakie to było dobre.

– Co ty robisz?!?! – krzyknęła Viola.

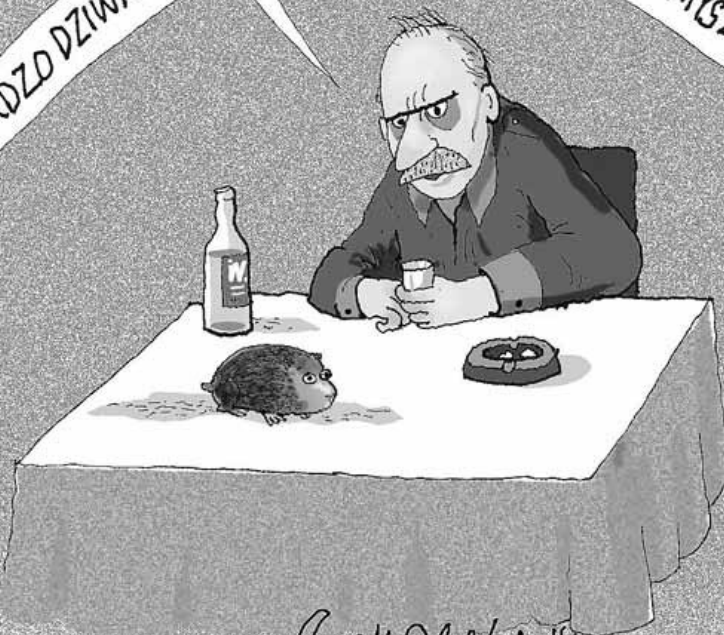
– Chudnę, kochanie – odpowiedziałem, rozgrzeszony przez Szwedów. – Chudnę.

PS

Drogi czytelniku, to nie jest prima aprilis. To są autentyczne badania przedstawione w „European Journal of Nutrition”.

LISTOPAD 2012

BARDZO DZIWNE. PRZECIEŻ TO POWINNA BYĆ BIAŁA MYSZKA



BOHDA NOWID

BEZ DUBELTÓWKI

Dlaczego nie mam dubeltówki albo sztucera? Bo nie – mógłbym dać odpowiedź najprościej jak można. Mniej więcej jak w dialogu między małżonkami:

– Dlaczego jesteś taka wkurzona?

– Bo jestem.

– Ale dlaczego?

– Jak nie wiesz, to nie pytaj.

Odpowiedź prosta jak drut. A potem psycholog po serii takich dialogów mówi do tego jegomościa, już pacjenta:

– Proszę przyjść jutro z żoną, to wtedy spokojnie przedyskutujemy ten wasz problem.

– Musi pan, panie doktorze, się zdecydować – odpowiada leczony. – Czy mam przyprowadzić żonę, czy spokojnie przedyskutować.

Ja nie mam dubeltówki, ponieważ nie chcę się znaleźć w sytuacji myśliwego z Podlasia, którego prokurator z zachodniej Polski oskarżył o to, że ten użył swojej broni do napadu. Pan prokurator nie zadał sobie trudu, by sprawdzić, czy Bogu ducha winny rolnik strzelbę dalej posiada, czy rzeczywiście komuś ją sprezentował. Odległość między prokuraturą a jego zagrodą to około czterystu kilometrów, więc nikomu sprawdzać się nie chciało. Pan prokurator oskarżył go w takim razie na ogólnie obowiązującej zasadzie: Bo tak! Właścicielowi tej broni groziło przez to, a być może dalej grozi, do dwóch lat pozbawienia wolności. Rzecznawca, który nieszczęsną

ową fuzję obejrzał bardzo dokładnie, stwierdził, że ponad wszelką wątpliwość należy ona do właściciela, od dłuższego czasu jest nieużywana i na wszelki wypadek zamknięta na dobry klucz w solidnej szafie, chyba nawet pancерnej. Tymczasem pan prokurator powiedział, że on bardziej wierzy sobie i tej strzelbie, którą posiada jako dowód, że to broń oskarżonego, niż jakiemuś tam ekspertowi. Jak to się skończy, zobaczymy. Być może jakiś bardziej przytomny od oskarżyciela sąd myśliwego uniewinni, a być może pan prokurator, żeby nie być posądzonym o upór i niekompetencję, a nawet nierzetelność, będzie trwał przy swoim aż do momentu, kiedy to oskarżony wyjdzie z więzienia po odsiedzeniu pełnego wyroku i wyśle skargę do Strasburga, i na koniec dostanie solidne odszkodowanie od rządu polskiego, czyli od nas. Tak czy inaczej, myśliwy ów wesołych świąt nie ma, a ja na wszelki wypadek nie mam dubeltówki.

Natomiast jeżeli chodzi o prezenty pod choinkę, to na pytania najbliższych, co chcę w tym roku otrzymać w prezencie, odpowiadam:

– Święty spokój i nic, co by pachniało prochem.

GRUDZIEŃ 2012



2000

Wybrałem się do lasu. Śniegu było tyle, że dało się bez trudu iść. Po dwóch kilometrach wędrówki zauważyłem świeże ślady butów. Ktoś nie tak dawno tędy szedł – albo taki sam spacerowicz jak ja, a być może kłusownik. „Trudno – pomyślałem – mam ze sobą pistolet hukowy, to mu huknę między oczy, może się przestraszy”. Po dziesięciu minutach dogoniłem go. Starszy pan, nie za wysoki. Szedł z flintą na ramieniu i powoli kierował się w stronę jeziora.

– Na polowanie?

– Nie. Przyszedłem pospacerować, nim spadnie więcej śniegu.

– A po co w takim razie broń?

– Ona też od czasu do czasu lubi wyjść na świeże powietrze. Lubi pospacerować ze mną. A i ja się wtedy lepiej czuję. Kiedyś, kiedy byłem młodszy, polowałem, i to z sukcesami. A teraz to już wzrok nie ten i nogi już słabsze. Ale kiedy jest dobra pogoda, lubię z Zosią się przejść. Tak ją od dawna nazywam.

– Ale od czasu do czasu pan postrzela?

– Nie. Wstyd się przyznać, ale nie. Nie stać mnie na naboje, bo emerytura chudziutka, a dzieciakom też nie najlepiej się powodzi. A tu w dodatku wszystko drożeje.

– Gaz potaniał – powiedziałem, żeby go pocieszyć.

– Tym, co go mają, potaniał. Ja palę drewnem, a drewno też podrożało.

– Izby wytrzeźwień są teraz za darmo.

– Jestem niepijący, ale to dobrze wiedzieć, bo jak pojedę z jakiegoś powodu do miasta, to będę miał gdzie się przespać.

– Z tym że najpierw się trzeba zdrowo nawalić.

– A symulować nie można? W młodości to mi nie najgorzej wychodziło.

– Nie da rady. Najpierw sprawdzają alkomatem.

– W takim razie to dla mnie też niewielka pociecha.

Zapatrzył się na jezioro, do którego dobrnęliśmy. Było puste, bez żywej duszy, ale tafla lodu pokryta cienkim śniegiem była pełna śladów zwierząt, które wędrowały przez nie, prawdopodobnie w poszukiwaniu jedzenia.

– Chodzą na skróty, jak ludzie – zauważył.

– Nikt nie chce się męczyć, kiedy nie musi – odpowiedziałem filozoficznie.

– Kilka dni temu też tutaj doszedłem i widziałem dwa łosie, jak szły ostrożnie na ten brzeg. Pierwszy raz je tutaj widziałem. Nawet nie wiem, skąd się nagle tutaj wzięły.

– Rozmnożyły się i pełno ich teraz.

– To odwrotnie niż ludzie. Ich ciągle ubywa.

– Bo ludzie nie są pod ochroną – powiedziałem, żeby coś powiedzieć.

– I tu trafił pan w sedno. Ludzi mniej, a niezyczliwości przybywa. Potrzymana pan strzelbę? Muszę trochę ręce rozgrzać, za bardzo mi przemarzły.

Wziąłem starą dubeltówkę do ręki. Była zadbana. Widać, że pielęgnowana, choć starzała się razem z właścicielem.

– Piękna broń – pochwaliłem.

– I celna. Muszę już wracać. – Wziął ją ode mnie z widocznym namaszczeniem. – Muszę wracać, bo zanim dojdę do domu, to zrobi się ciemno.

Wtedy przypomniałem sobie, że kiedy wychodziłem na spacer, listonosz, którego spotkałem po drodze, dał mi pocztę. Było w niej coś, co mogłem temu starszemu panu podarować. Sięgnąłem do głębokiej kieszeni kurtki,

wyjąłem i powiedziałem:

- To dla pana, do poczytania przed snem.
- A co to jest?
- „Łowiec Polski”, numer 2000.

STYCZEŃ 2013



ROZUM NA OPARACH

Wyjątkowo nie cierpię tej zimy. Poprzednie jakoś znosiłem, a na obecną już nie mogę patrzeć. A wszystko przez brak słońca za oknem, bo jestem od niego uzależniony. W poprzednich latach dni układały się w proporcjach pół na pół, mniej więcej tyle samo światła, co chmur, a w tym miejscu, gdzie mieszkam, od początku grudnia do końca lutego słonecznych dni było siedem albo osiem. I śniegu w ogrodzie też mam mniej więcej tyle samo, co górale w Zakopanem. Nawet myślałem, żeby pójść do jakiegoś lekarza, żeby mi przepisał jakieś tabletki na dopadającą mnie depresję, ale kiedy przeczytałem na ulotce reklamującej taki antydepresant, że skutkiem ubocznym zażywania tego lekarstwa są między innymi myśli samobójcze, to mi się cała chandra ustabilizowała. I to prawdopodobnie ze strachu.

By zająć się czymś pożytecznym w te pochmurne dni, czytam wszystko, co mi wpadnie do rąk. I trafiłem na taki artykuł, który dodatkowo może zdołować was wszystkich. Otóż amerykańscy uczeni, ale nie tylko oni, doszli w wyniku badań do tego, że człowiek był najmądrzejszy od dwóch do sześciu tysięcy lat temu, a nie dzisiaj, w dobie internetu. „Dlaczego?” – zapytacie pewnie zaskoczeni i oburzeni, bo dla większości z nas człowiek sprzed sześciu tysięcy lat to istota pierwotna i nieposiadająca żadnej wiedzy, w odróżnieniu od nas, oświeconych dostępem do wszystkiego, co uzupełni nasze wiadomości. A dlatego, że polowanie, budowa szałasów i siedlisk wymagały od naszych praojców wysokiego poziomu inteligencji, sprytu i – co najważniejsze – zdolności abstrakcyjnego myślenia. Mieszkańcy, którzy nie dawali sobie rady w tamtych warunkach z ochroną przed zimnem i zdobywaniem pożywienia, ginęli razem z potomstwem. I dlatego wtedy

mózg pracował na najwyższych obrotach.

Dzisiaj żyjemy w czasach, gdy już nie walczymy o wszystko tak zajadle, przestał działać system, który promuje najinteligentniejszych, a ruguje nieudaczników i tępaków. Im człowiek mniej myśli o tym, jak przeżyć, tym słabiej rozwija się mózg. Czyli co? Stajemy się, drogi czytelniku, coraz głupszy. Do tego jeszcze dochodzi zbiorowy sposób myślenia w postaci różnych nasiadówek, które powodują wyłączenie rozumu, co często jest podkreślane przez uczestników, którzy po wyjściu na świeże powietrze, żeby je zepsuć dymem z papierosa, mówią najczęściej:

– Po tej naradzie jestem jeszcze głupszy niż przed.

Jeszcze gorzej mają ci, co uważają, że internet i smartfon czy tablet to jest i świat, i wszechświat, i nie potrzeba żadnej dodatkowej wiedzy, żeby porąbać drewno do kominka, bo ma się drugi rozum. Wystarczy kliknąć: „Kominiek, co zrobić, żeby napalić?”. „Miej drewno, siekierę i zapałki”. Następne pytanie: „Jak wygląda siekiera?”.

A niech zabraknie takiemu na trzy dni prądu, gazu i wody. Jeśli zabraknie tylko wody, to przeżyje, nie myło się i dłużej, ale bez prądu, kiedy cały sprzęt ratunkowy jest nienaładowany, w związku z tym nie wiadomo, jak się pisze SOS i do kogo wysłać, to masakra.

Opowiadał mi fan, że pojechał z dziećmi do lasu, żeby im pokazać, jak wygląda przyroda na wyciągnięcie ręki. Chodzi i tłumaczy, że to jest drzewo liściaste, a tak wygląda iglaste, tam w oddali to jest sarenka, to, co puka, to dzięcioł. I po godzinie, kiedy już się nachodzili i zmęczyli, zapytał swoje drobiazgi:

– Pod którym drzewem chcecie odpocząć?

– Pod tym, w którym jest wi-fi.

I jak sam opowiadał, długo był zdziwiony.

Czytam w internecie prośbę: „Pomóżcie! Dzisiaj kupiłam samochód w komisie i nie wiem, jakie wlać do niego paliwo. Po czym poznać, czy to disel, czy benzyniak, bo jeżdżę na oparach?”. Po chwili przychodzi odpowiedź: „Przyświeć zapalniczką przy wlewie paliwa i zobacz sama.

Potem wlej ropę. Bo jeśli to jest benzyniak, to południa nie doczekasz”.

A już dwa tysiące lat temu rzymski filozof Seneka napisał: „Być wszędzie znaczy nie być nigdzie”.

MARZEC 2013



WYKSZTAŁCIUCH

Aż trudno uwierzyć w to, co mi się przytrafiło. Wybrałem się do lasu na przedświąteczny spacer po to, żeby zrobić w żołądku trochę miejsca na wielkanocne jajeczka i wędzonki, na żurek robiony według kresowej receptury i trochę wędlinek wędzonych przez znajomych fanów, bez konserwantów i różnego rodzaju barwników, po których szynka nawet po roku udaje, że jest świeża. Idę, spoglądam na jezioro i śmieję się z dowcipu, który otrzymałem pocztą tak zwaną elektroniczną. Sprzedam więc i wam.

Dziennikarze w Zakopanem szukali wiadomości na pierwszą stronę i był problem ze znalezieniem takiej, bo tego dnia żadna lawina nie zeszła z gór i żaden celebryta nie złamał nogi, zjeżdżając po pijanemu z Kasprowego. I kiedy już byli kompletnie pod ścianą, dowiedzieli się, że jeden góral, powszechnie znany w mieście, obchodzi w tym dniu pięćdziesięciolecie pożycia małżeńskiego, więc natychmiast pojechali do niego i pytają:

- Podobno już pięćdziesiąt lat żyjecie ze sobą?
- Całe okrągłe pięćdziesiąt, panockowie.
- I szczęśliwie ze sobą żyjecie?
- Tak jak my szczęśliwie zyjemy ze sobą, to w całym Zakopanem tak nikt ze sobą szczęśliwie nie żyje.
- A kochacie się w dalszym ciągu?
- Tak jak my się kochamy, to w całych Tatrach nie ma takiego kochania.
- A były jakieś prezenty na srebrne gody?
- Na srebrne gody to ja zrobiłem Marysieńce taki prezent, ze az sie

zdziwiła.

– Opowiedzcie widzom jaki.

– Na srebrne gody zawiozłem Maryś do jej rodziców do Nowego Targu, żeby się nią naciesyli!!!

– A co planujecie na złote?

– A tak się zastanawiam, czy nie pojechać do Nowego Targu i nie psywieść ją z powrotem.

Idę więc przez las i śmieję się do rozpuku, bo żarcik zacny, aż tu nagle na ścieżce widzę zajączka, który stoi z koszyczkiem do święconki w jednej ręce i z tabletem w drugiej. I nie jest to jakiś sztuczny, pluszowy szaraczek, tylko najprawdziwszy zajac, który co rusz odkłada koszyk na ziemię i coś na tym tablecie przelicza z niebywałym zapałem.

– Co robisz? – pytam ludzkim głosem, bo skoro potrafi posługiwać się takim urządzeniem, to i pewnie rozmawiać potrafi.

– Wyciągam pierwiastek z dwunastu tysięcy sześćset osiemdziesięciu czterech.

– A do czego ci taki pierwiastek potrzebny?

– Chcę tak jak pan zostać wykształciuchem. Dopadła mnie ewolucja i będę robić magisterium z matematyki.

– To po co ci jeszcze te jajka w koszyczku?

– Chcę zarobić na chesne, bo na państwową uczelnię nie przyjmą, a na prywatnych liczy się przede wszystkim kasa, a nie wygląd.

– Dziwne masz wzorki na pisankach, zajączku.

– Bo to lis je namalował.

– Co?

– Mówię, że lis namalował.

– Tobie?

– A co w tym dziwnego? Chce iść na kulturoznawstwo, a konkretnie na rękodzielnictwo, jest szczęśliwy, że ja też chcę studiować tak jak on, i pomaga tak jak umie, żeby mi tylko nie przeszła ochota. Żeby mnie

podtrzymać na duchu, zakradł się do kurnika i co prawda kury wydusił, ale jajka przyniósł i nie uszkodził ani jednego. I te kreski to jego dzieło. Kupi pan ode mnie ten oryginalny wielkanocny koszyczek?

– Dlaczego niby oryginalny?

– Ponieważ bez wędzonki, którą mi wilk podwędził. Kupi pan. – Tu zawachlował słuchami jak najpiękniej potrafił.

– A na ile go wyceniasz?

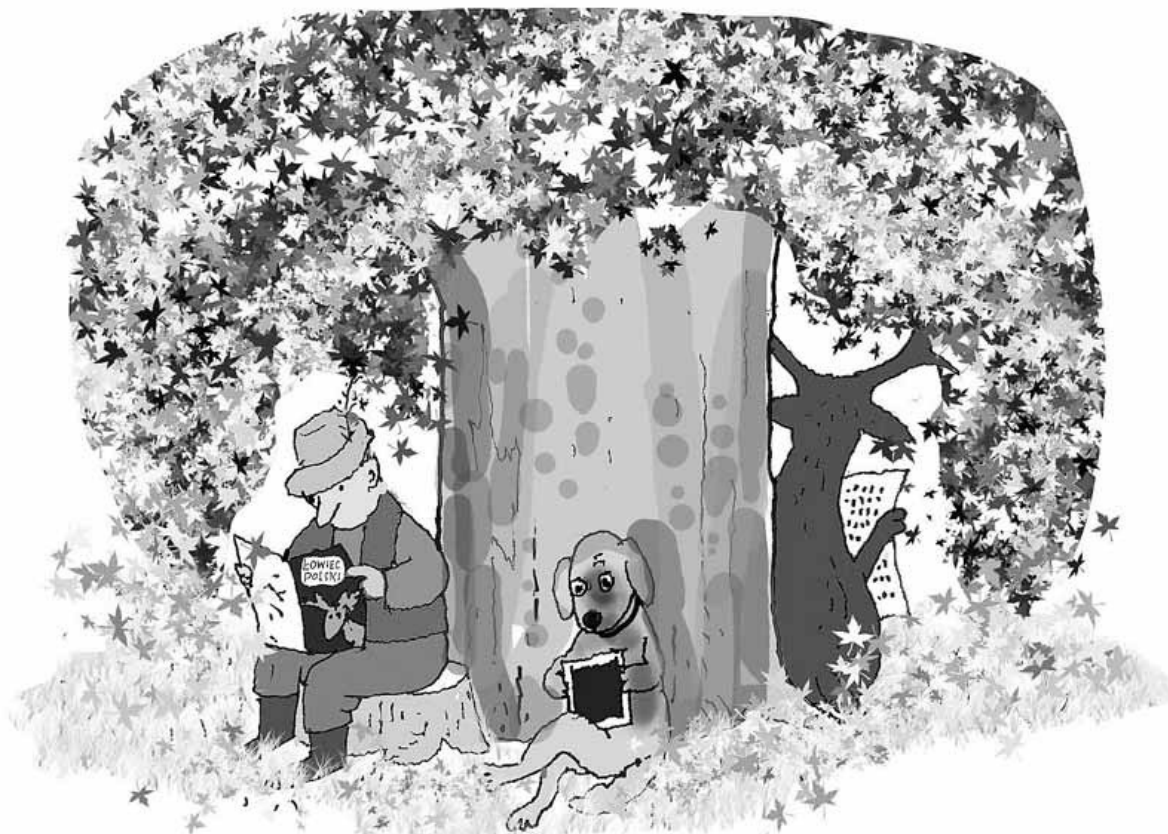
– Tak, żeby choć na jedno chesne wystarczyło.

A ponieważ wiem, że jest niemałe, obudziłem się natychmiast, żeby już nie denerwować ani zajączka, ani siebie. Taki to sen miałem na dzień przed Wielkanocą. Niby bez sensu, ale powiedzcie, co tak naprawdę ma dzisiaj sens.

PS

Mój sąsiad mówi, że są tylko dwa rodzaje świątecznego jajeczka: setka lub pięćdziesiątka.

KWIECIEŃ 2013



GRUNT TO RODZINKA!

CUD-MIÓD

Zmienia się przyroda, zmieniamy się i my. Jeszcze kilka lat temu, gdy do mojego domu wpadła osa czy pszczoła, tłukło się ją czym popadnie, żeby tylko się jej pozbyć. Teraz jest już połowa lipca, osy jeszcze nie widziałem, nie pojawiła się żadna, chociaż owoców na stole jest tyle co zawsze i słodkiego ciasta jest również pod dostatkiem. Przepadły albo wyginęły. Może przestał im się podobać mój dom? Nawet takie myśli chodzą mi po głowie.

Przez ten kawałek lata miałem w domu wizytę dwóch pszczół. Trafiły do salonu przez otwarte drzwi i być może to, co teraz powiem, wyda się wam śmieszne, ale przez pół godziny robiłem wszystko, żeby nie przydarzyło im się nic złego. Pootwierałem wszystkie drzwi i okna tylko po to, żeby bez jakiegokolwiek szwanku mogły powrócić do ula i dalej robić miód, zgodnie z powiedzeniem, że póki istnieją pszczoły, to żyć będziemy i my.

Tłukę tylko szerszenie, choć wszyscy, którzy mieli z nimi spotkanie, wiedzą, że utłuc je bardzo trudno. Z szerszeniami mam porachunki od czasu, kiedy mieszkałem w nadleśnictwie Wichrowo na Warmii i jeden ugryzł mnie w policzek. Miałem wtedy chyba siedem lat i przez tydzień widziałem tylko na jedno oko. Reszta twarzy wyglądała tak, jakby ktoś w nią przywalił łopata. Od tego czasu, kiedy takie bydlę pojawia się w moim mieszkaniu, usiłuję się go pozbyć na wszelkie ludzkie sposoby.

Chciałbym jednak zakończyć to pisanie w sposób w miarę pogodny, ponieważ od stresowania nas są przede wszystkim politycy. Wspomniałem wcześniej o słodkim cieście, więc spieszę donieść, że waga, rozmiar, kształt,

a nawet kolor sztućców wpływają na nasze odczuwanie smaku jedzonych potraw. Psychologowie z Oksfordu dowiedli, że jedzenie sera prosto z noża sprawia, że wydaje się nam bardziej słony, niż gdy użyjemy widelca lub wykałaczki. Jogurt spożywany srebrną łyżeczką jest smaczniejszy od tego, który zjemy zwykłą, a już prawie paskudny, kiedy zjadamy go plastikową. Mało tego, nie uwierzycie, ale według tych badań biały jogurt na białej łyżeczce będzie słodszy niż na czarnej, jeśli ktoś na taką trafi, a będzie nie do zjedzenia, kiedy użyjemy łyżeczki niebieskiej. Wtedy będzie smakował mniej więcej tak, jak słonina popijana mlekiem.

Jaki z tego wniosek? Nie róbmy żadnych takich badań, żeby później nie dostać pierdolca. Poza tym – ja przynajmniej tak uważam – miód z niezabitej pszczoły na każdej łyżeczce smakuje tak samo.

SIERPIEŃ 2013



SMACZNY KONIK

Spotkałem znajomego, który wracał ze spaceru, ledwo powłócząc nogami. Znajomy nie cierpi zimna, gorąca i pogody nijakiej. Teraz nie cierpi upałów.

– Za gorąco, stanowczo za gorąco. Nie ma czym oddychać.

– Bo nie powinno wybierać się na spacer w samo południe.

Spojrzał na mnie chłodnym wzrokiem i ruszył w stronę domu.

A powietrze dzisiaj jak w Afryce, rozgrzane do nieprzytomności, a ja najlepiej żyję w temperaturze dwadzieścia – dwadzieścia trzy stopnie, wtedy chce mi się chodzić i pracować.

Dzisiaj wybrałem się na wędrowkę brzegiem rzeki. Tu jest chłodniej, a zapach skoszonej kilka dni temu trawy jest tu o wiele mocniejszy niż pod lasem i uderza w nos jak najwytworniejsze francuskie perfumy. Kto tego zapachu nie zna, niech żałuje. Na odrastającej trawie zobaczyłem konika polnego, a po chwili drugiego. Ten był wielki, ogromny, mierzył najmniej cztery centymetry. Za kilkanaście albo kilkadziesiąt lat będzie to nasze podstawowe pożywienie, nasz schabowy i nasza golonka.

Skąd taka absurdalna myśl? Myślicie może, że i mnie z upału pomieszało się w głowie. Nic z tych rzeczy. Wyczytałem nie tak dawno w jednym z tygodników, że przy tempie, w jakim rozwija się ludzkość, istnieje realna groźba, że za jakiś czas skończą się wszelkiego rodzaju zasoby naturalne, a jeść i pić będzie trzeba, w związku z tym uczeni poszukują alternatywnych źródeł pozyskiwania pożywienia. Wymyślono między innymi nowe urządzenie kuchenne o nazwie LEPSIS, które jest domowym inkubatorem do hodowli między innymi koników polnych, które będziemy rzucać na patelnię

zamiast karkówki lub wątróbki, zapijając to winem. Tylko jeszcze nie wiadomo, czy białym, czy czerwonym.

W Warszawie już istnieje restauracja serwująca różnego rodzaju gąsienice i inne podobne przysmaki. I co najciekawsze, klientów jej nie brakuje, więc droga do pasikoników na talerzu jest już otwarta. Uczni i szefowie kuchni pracują nad tym i nad innymi projektami, głosząc, że wszystko, co najsmaczniejsze, dopiero przed nami i że powinniśmy się z tego tylko cieszyć, ponieważ takie jedzenie będzie zdrowsze i tańsze. Zdrowsze dlatego, że pozbawione nawozów, pestycydów i jakichkolwiek modyfikacji.

Wróćmy więc do natury, jak w tym dowcipie, w którym spotyka się dwóch kumpli i jeden pyta drugiego:

- I co robiłeś w ten długi weekend?
- Byłem u dziadków na działce.
- I co? Pewnie nuda?
- Wyobraź sobie, że nie. Dziadek pędzi bimber siedemdziesiąt volt. Wypiliśmy po flaszcze i rano wstałem jak nowo narodzony.
- Jak nowo narodzony?! Po flaszcze?! Siedemdziesiąt volt?
- No! Znaleźli mnie w kapuście.

WRZESIEŃ 2013



MAŻ NIE MOŻE ROZMAWIAĆ, ANI POLOWAĆ.
OD JAKIEGOS CZASU MYŚLI WYŁĄCZNIE,
O KOŃCU ŚWIATA.



BOHDANOWICZ

NA KONGRESIE

Zostałem zaproszony na Międzynarodowy Kongres Kultury Łowieckiej, który na przełomie sierpnia i września odbywał się w Jachrance koło Warszawy, w wygodnym, pojemnym i życzliwym hotelu Warszawianka. Było przyjemnie, czasami dostojnie, bo wpadł tutaj i wicepremier Piechociński, który w tym roku ma problem ze znalezieniem trzystu osiemdziesięciu kilogramów prawdziwków, bo tyle, jak twierdzi, zbiera co roku, czego mu serdecznie zazdroszczę, bo ja w tym roku mam problem ze znalezieniem nawet trzech. Było wesoło i radośnie, szczególnie wtedy, gdy spotykałem myśliwych, których udało mi się poznać wcześniej, choćby na balach hubertowskich. Ale pozawierałem też nowe, bardzo przyjemne znajomości, ugruntowane najprzedniejszymi naleweczkami.

Przez dwa dni otrzymywałem bardzo wiele pytań w rodzaju, kiedy i czy planuję wydać zbiorek tych opowiadań i skąd mi się biorą pomysły na felietony. – Z niczego, czyli z głowy – odpowiadałem zazwyczaj starym, ale niezawodnym dowcipem. Tym bardziej natarczywym, którzy prosili, żebym zdradził kulisy swojego pisania, sprzedawałem opowiadanie o tym, jak pani Marzanna z sekretariatu „Łowca” dzwoni do mnie z prośbą o materiał, najpierw życzliwie uśmiechając się przez telefon, po kilku dniach zmieniając ton na błagalny, a kiedy zbliża się termin ostateczny, kończy słowami:

– Dzwonię do pana, panie Krzysiu, z sympatią, bo pana lubię, i chcę ostrzec przed naczelnym. Szef jest coraz bardziej zdenerwowany i właśnie przed chwilą wyjął z gabloty sztucer, mówiąc: „Skończę z tym sukinsynem raz na zawsze!”. I nie mówił, o kim mówi, ale to może być pan.

Kiedy zaś telefon odbierze moja żona, pada pytanie:

– Czy pani, pani Violu, chce zostać wdową?!

Wtedy już wiem, że dalej przeginać nie mogę, że znajduję się w sytuacji faceta, który na straszliwym kacu doczołgał się do łazienki, wstał, spojrział w lustro i po dłuższej chwili przyglądania się sobie powiedział:

– Nie znam cię... ale i tak cię ogolę.

Tak zazwyczaj wygląda mój proces twórczy. Za każdym razem, dopóki nie mam lufy przy głowie, nie chce mi się ruszyć ani ręką, ani głową, mimo to mówią o mnie, że jestem pracowity. Oczywiście te wszystkie pogrożki to jest gra pozorowana. Z panią Marzanną uwielbiamy przekomarzać się w ten sposób. Naczelny, pan Paweł, jest wielkiej łagodności i kultury człowiekiem i żadnej krzywdy mi nie zrobi. Jedyny, który bardziej na tym cierpi, to Julek Bohdanowicz, który musi rysować na jeszcze bardziej ostatnią chwilę.

Takie oto historyjki opowiadałem na kongresie. Natomiast jednego z pytających zaskoczyłem kompletnie, ponieważ na pytanie, jakie są moje dodatkowe umiejętności, odpowiedziałem:

– Układanie truskawek na bitej śmietanie.

PAŹDZIERNIK 2013



PSY, ŻURAWIE I KOJOTY

Tekst ten piszę 16 października. Szczerze mówiąc, to żadna szczególna data, może z wyjątkiem Florentyny i Gawła, obchodzących tego dnia imieniny, i tych, którzy się w tym dniu urodzili, kto wie, czy nie takiego samego poranka otulającego mgłą mój dom. Dla mnie 16 października tego roku zaczął się lekkim szokiem, ponieważ nad domem przeleciał klucz żurawi, konkretnie sześć sztuk. Niby niewielki, ale za to z takim wrzaskiem, jakby w nim była co najmniej setka. Nawet przez moment pomyślałem, że może za chwilę zobaczę Władimira Putina, jak je odprowadza do ciepłych krajów, frunąc za nimi motolotnią, ale chwilę później doszedłem do wniosku, że to jednak nie jest możliwe bez drugiej motolotni z prezydentem Komorowskim. W międzyczasie dowiedziałem się, że nie jest to możliwe i z tego powodu, że po tej eskapadzie prezydent Putin nikomu się nie pokazywał prawie miesiąc i żartowano poza Kremlem, że być może został przez te ptaszyska podziobany.

Przyznacie jednak, że owe żurawie w połowie października pod Warszawą, na dodatek kierujące się na północny zachód, a nie na południe, mogą wprowadzić człowieka takiego jak ja w osłupienie. Z dołu, z mojego ogródka, wyglądały tak, jakby wcześniej zabalowały i teraz na kacu próbowały złapać i pion, i kierunek, szukając rozpaczliwie pozostałych uczestników wycieczki, nie pamiętając na dodatek, gdzie Rzym, a gdzie Krym. Ta szaleńcza pogoń żurawiej eskadry to jednak tylko wyjątek, ponieważ większość ptaków podąża za ewolucją mniej więcej w podobnym tempie co inne zwierzęta usiłujące zakumplować się z ludźmi.

Kilka dni temu oglądałem w telewizji program, który wprowadził Amerykanów w stan euforycznego zaskoczenia, ponieważ obsługa schroniska dla bezdomnych psów odkryła pewnego poranka, że nie ma w kojcu pieska, który wieczorem jeszcze w nim był, a o świcie wziął i przepadł. Uruchomiony monitoring wykazał, że cwany tamtejszy Reksio pootwierał łapką wszystkie drzwi, wyszedł z budynku i powędrował w siną dal.

Mnie to bardziej rozbawiło, niż zaszokowało, ponieważ większość kotów i psów zamieszkujących nasz dom otwiera już od wielu lat wszystko, co da się otworzyć, i to na dodatek bez większego wysiłku. Z tego powodu niektóre drzwi od wewnętrznej strony mają gałki zamiast klamek, a dodatkowo wyposażone są w klucze, bo zdarzało się, że gałka też nie była ostatecznym zabezpieczeniem.

Wspominałem już, że mieliśmy kotkę o wdzięcznym imieniu Nabiałek, czarną jak noc, wyniesioną ze sklepu spożywczego, w którym, gdy była małym kotkiem, usiłowała pootwierać butelki z mlekiem, zdzierając z nich kapsle. Otwierała też lodówkę bez najmniejszego problemu.

Posiadaliśmy również suczkę Strzałkę, po matce, złotej medalistce, seterce irlandzkiej, która puściła się z połową psów z Żoliborza i nie tylko, bo z ośmiu szczeniąt, które przyszły na świat, jedno było podobne do lisa; i nie dość, że było podobne, to jeszcze wydusiło wszystkie kury, kiedy przyjechało na Mazury. Strzałka nie tylko otwierała wszystkie drzwi, ale jeszcze potrafiła ściągnąć łańcuch zabezpieczający furtkę, w ciągu pięciu minut, w czasie których używała pazura jak wytrycha. Skapitulowała dopiero wtedy, gdy wymyśliłem kłankę otwieraną do góry. Wiele radości przysparzała obserwacja nieznanym, którzy nie znając tego patentu, próbowali sforsować furtkę.

To jednak nic przy naszej seterze gordonce, wabiącej się Bera, z rodu Beronia. Podejrzewamy w domu, że ona w poprzednim wcieleniu musiała skończyć studia z psychologii z wynikiem więcej niż celującym i obecnie układa sobie w myślach doktorat dotyczący właściwego postępowania z nami. Oczywiście drzwi otwiera bez najmniejszego problemu i na kilka

minut przed naszym wyjściem z domu już wie, w którą stronę się udamy, ponieważ kładzie się przy właściwych drzwiach, umiejętnie je blokując. Jeśli chce się dostać do mojego gabinetu albo naszej sypialni, to najpierw stara się kulturalnie nas obudzić, drapiąc jednym pazurem we framugę. Dźwięk ten przypomina jazdę pumeksem albo styropianem po szkle. Nie wyrobisz. Kilka razy próbowaliśmy to przetrzymać, ale się nie dało, ponieważ na wszelki wypadek wymyśliła też wariant drugi. Kiedy za długo nie reagujemy na drapanie, za drzwiami rozlega się westchnienie przypominające rannego łosia i po chwili następuje upadek psa na drzwi. Nie daje szans, musisz otworzyć. Gdy chcemy, żeby wyszła na dwór, a jest zimno lub mokro, natychmiast głuchnie i udaje, że śpi. A robi to tak skutecznie, że jej nawet powieka nie drgnie, ale wymów – nawet najcichszym z możliwych szeptów – magiczne zdanie: „Idziemy na spacer”, po sekundzie jest pod drzwiami.

Wspomniany amerykański Reksio zaimponował wszystkim, także i mnie, że po kilkunastu godzinach wrócił tam, skąd wyszedł, tylko nie sam, lecz z towarzyszką, którą sobie zaadoptował po drodze, i żeby pokazać, że ma z kim żyć, i żeby hycle odpierniczyli się od niego.

A żeby skończyć z tym wątkiem dotyczącym czworonogów, to zatrzymałem się nie tak dawno w zajeździe o wdzięcznej nazwie Ostatni Zajazd na Prerii, w którym nadają, powiedziałbym, wysublimowane nazwy prostym potrawom. Był tam między innymi „Ziemnior okraszony skwarami naszych praojców”, „Bliny Wołodyjowskiego” i „Comber z jelenia według przepisu Winnetou”. No takie nazwy, że aż strach jeść, ale mnie zaintrygowała przede wszystkim „Zupa szalonego kojota”. Na moje pytanie, co to takiego, kelner powiedział:

– Szczawiowa.

I wtedy pierwszy raz zrozumiałem zachowanie posła Niesiołowskiego w Sejmie, z tego, co mówił, wyraźnie lubi szczawiową.

LISTOPAD 2013



RUDE KOTY

Zacniemy tak. Rudy kot idzie po śniegu zmieszonym z błotem, łapy utyłane, mordka umorusana, wąsy obwisłe, ogon ciągnie się po ziemi... Idzie i wrzeszczy na całą okolicę:

– No i gdzie jest ta pieprzona wiosna!? Co to za zaszrane podwórko. Żywego ducha w okolicy. Wszystkie kotki wysterylizowane! Ten babsztyl z kamienicy od dwóch dni nie przynosi jedzenia! Ptaki nie dają się upolować! Chrzańć to wszystko! I jak tu żyć?!

A ludzie słuchają tego przez okna i mówią do siebie szczęśliwi:

– Idzie wiosna, bo koty już marcuja.

W górach niedźwiedzie już się szykują na kanapki pochowane w plecakach turystów. Pojawił się jeden bocian na początku lutego i cała wieś go karmi, żeby dożył pierwszych żab na łąkach. Sikoreczki z kolei olewają nasz karmnik pełen ziaren słonecznika. Wygląda więc na to, że wszyscy dostają przyspieszenia.

Dlatego nie ma co się dziwić, że i w polityce ruch się wzmacnia. Tym bardziej że w maju będziemy mieli wybory do europarlamentu, a niedługo później, jesienią, samorządowe. Najbardziej mnie zaskakują przygotowania kandydatów i kandydatek do startu na stanowiska w Brukseli. Większość kandydatek wybotoksowana tak, że ani czoła zmarszczyć, ani brwi podnieść, ani ust otworzyć, bo wyglądają tak jak na rysunkach przedstawiających Murzynka Bambo. Zresztą, po co otwierać usta, kiedy nie ma się nic do powiedzenia. Panowie również od Sasa do lasa. Podobno niektórzy też po spotkaniu ze skalpelem fachowca od poprawiania wizerunku. Tak więc

będzie się z czego przez łzy pośmiać. Te gry wstępne, które mają nas przekonać do tych orłów i sokołów, wręcz oszalamiają.

- Czym się pani będzie w Brukseli zajmować?
- Kulturą.
- Dlaczego kulturą?
- Bo się na niej znam. Chodzę do kina.

Wszystko wskazuje na to, że kiedy już ci wybrańcy zasiądą w brukselskich ławach, to ich udział w debatach będzie przypominał naszego dygnitarza, który w czasach PRL-u poleciał z braterską wizytą do Chińskiej Republiki Ludowej i na forum tamtejszego zgromadzenia zaczął przemawiać po polsku. Mówił ponad pół godziny, następnie przerwał i zwrócił się do tłumacza:

- Przetłumaczcie to na wasz ojczysty język, mój chiński towarzyszu.

Tamten wstał, uklonił się przydykum chińskiej partii i rzekł:

- Cing!

I ani słowa więcej.

Nasz zaczął znowu, mówił tym razem godzinę z okładem i zakończył okrzykiem:

– Niech żyją Ludowe Chiny! Niech żyje Polska Ludowa! I niech nam wszystkim żyje Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich!!! Przetłumaczcie teraz także i to!

- Cingciang – podsumował płomienne wystąpienie tłumacz.

Rozległy się olbrzymie brawa, które przeszły w aplauz, ale kiedy wrócili do hotelu, nasz orzeł bez korony powiedział do swojego przybocznego:

– Co jest do jasnej cholery i kurwy nędzy?! Przemawiałem prawie dwie godziny, chwaliłem ich i nasze dokonania na wszystkich niwach, a ten żółty krasnoludek mówi tylko „cing” i „cingciang”! Chyba mi nie wmówicie, że chiński jest takim lapidarnym językiem!!! Znajdźcie jakiś słownik i wytłumaczcie mi, co ten skubaniec powiedział.

Przynieśli słownik, przeczytali i mówią:

- Towarzyszu, słowo „cing” po naszymu znaczy „pieprzy”.

- A „cingciang”?
- „Skończył pieprzyć”!

MARZEC 2014



JUŻ WIEM

Znany jestem w kilku miejscach z tego, że wszystko, co muszę napisać, oddaję zazwyczaj w ostatniej chwili. Czasami myślę: „Tym razem wyślę felieton na tydzień przed terminem i zaszokuję panią Marzannę”, ale chwilę później tydzień kurczy się do pięciu dni, potem nie wiadomo z jakiego powodu do trzech, potem dostaję telefon, że dzisiaj to już jest wczoraj, i trwa to niezmiennie od kilkunastu dobrych lat. Początkowo było mi głupio, ale jak się okazało, w tym przypadku jestem usprawiedliwiony i na dodatek zrobili to za mnie uczeni.

Otóż najnowsze badania pokazały – cytuję za tygodnikiem „Angora” – że „notoryczne zwlekanie z należyтым wykonaniem jakiejś czynności może mieć podłoże genetyczne”. Do takich wniosków doszli badacze naszej natury, obserwując identyczne skłonności u bliźniąt dwujajowych i jednojajowych, czyli identycznych. Okazało się, że czynniki genetyczne bardziej wpływały na chęć odkładania zadań na później. Naukowcy sugerują, że planowanie przyszłości komplikowało życie i przeszkadzało naszym przodkom w walce o ich codzienny byt. Co prawda nie mam brata bliźniaka i nie wiem w związku z tym, ilu jajeczny jestem, ale mam na pewno cechy tego drugiego. Podobno, ale tego nie wiem na pewno, bo na ten temat nie robili badań nawet uczeni rosyjscy, którzy zajmują się testowaniem cierpliwości Unii Europejskiej na własne zapędy w stosunku do Ukrainy, ponieważ towarzysz imperator Putin też chciałby sobie pomieszkać w domku ze złota, który sobie zafundował były już prezydent Ukrainy Janukowycz.

Podobno – wracam do tematu – nie mają tych cech myśliwi. Ci polowań

nie odkładają na później, nawet jak ich ktoś do tego namawia. Już na kilka dni przed wyjazdem mają wszystko naoliwione i ułożone w jedną kupkę, żeby nie zmarnować ani minuty.

Opowiadano mi przy ognisku, jak to trzech kumpli opisywało, jakie mają sposoby, dzięki którym mogą się wyrwać do lasu.

– Ja cały wczorajszy dzień odkurzałem całe mieszkanie, dodatkowo jeszcze umyłem okna i wyprałem firanki.

– A ja – powiada drugi – nie dość, że odkurzyłem, to jeszcze wypastowałem i wyfroterowałem podłogi, i jeszcze ugotowałem obiad dla całej rodziny, a część tego obiadu zawiozłem do teściów, żeby i oni nie mieli pretensji, że zostawiam Honoratkę samą.

– A ty co robiłeś, żeby tu być z nami? – pytają trzeciego.

– Ja nastawiłem budzik na czwartą w nocy, delikatnie obudziłem żonę i powiedziałem: „Mam straszną ochotę pokochać się z tobą. Czy może chcesz, żebym lepiej pojechał na polowanie”. I zawsze słyszę to samo zdanie: „Wiesz, gdzie jest flinta. Spierdalaj!”.

Już po opublikowaniu tekstu przysłał mi swoją własną anegdotę, że się tak wyrażę „w temacie”, jeden z czytelników, a ponieważ otrzymałem zgodę na jej publikację, więc robię to z przyjemnością.

„Jestem myśliwym od 1999 roku. Poluję w kole łowieckim, którego łowczym jest mój kolega – mężczyzna sześćdziesięcioletni, społecznik, zaangażowany w łowieckie sprawy, prezes strażaków ochotników i miłośnik gorących myśliwskich herbatek. Któregoś pięknego dnia wstałem sobie rano z zamiarem pojechania na polowanie. Obudziłem żonę, która zażądała, żebym przed wyjazdem wyczyścił komin, który dość często się zanieczyszcza i nie chce się wtedy palić w piecu (miałem to zrobić kilka dni wcześniej, ale jakoś nie wychodziło). Rad nierad – a była to niedziela – wszedłem na dach i zrobiłem w miarę przyzwoicie tę całą robotę. Powiadomiłem żonę, że zadanie wykonane, spakowałem się i spokojnie pojechałem do naszego domku myśliwskiego. Na zbiórce byłem pierwszy, więc czekając na kolegów, zacząłem jeść kanapkę. Koledzy jeden po drugim docierali na zbiórkę i jeden, patrząc na to, co robię, powiedział:

– Jeszcze nic nie zrobiłeś, a już się opychasz!

Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że przepraszam, ale ja już zdążyłem wyczyścić komin, na co wszyscy zareagowali śmiechem. Trwało to kilka minut, potem odbyliśmy odprawę, a po niej podszedł do mnie mój kumpel, łowczy, i powiedział:

– Ja też. I to dwa razy”.

MAJ 2014



BEZPIECZNEGO ZAJĄCZKA

Cudownie jest spacerować po lesie... A jeszcze cudowniej po takim, w którym oprócz ciebie nikogo nie ma. Piszę o tym, ponieważ wraz z nadchodzącą wiosną rośnie apetyt na wszelkiego rodzaju nowalijki, które z powodu łagodnej zimy mogą wcześniej trafić na nasze pozbawione witamin stoły, ale też dzięki nagraniom realizowanym tą porą we wszystkich możliwych knajpach, na każdym możliwym do kupienia sprzęcie nagrywającym. Mało tego, chodzą po mieście plotki, że ci podsłuchujący są także podsłuchiwanii za pomocą sprzętu podsłuchującego, który potrafi również podsłuchiwać sprzęt podsłuchujących. Gdybym nie miał świadomości, że do „Łowca” pisze również pan profesor Bralczyk, to tę informację o totalnym już podsłuchiwanii skomentowałbym jednym krótkim zdaniem: „Ja pierdziu!”.

Tu muszę się pochwalić, że swoją wyobraźnią na ten temat dogoniłem już wszystkich uprawiających zbieranie haków, także na wszystkich. Otóż kilka dni temu byłem w sklepie elektronicznym, robiłem w nim jakieś drobne zakupy i po ich zakończeniu podchodzę do kasy, gdzie pani kasjerka informuje mnie, że w ramach promocji sprzedawane są pendrive’y, i to z dużo większą pojemnością niż oferowane dotychczas.

– Wezmę taki – mówię do życzliwej pani – tylko wtedy, gdy funkcje „podsłuch” i „mały szpieg” będą w nim zamontowane gratis.

Pani to nie rozbawiło, kilka osób w kolejce życzliwie na to zareagowało, a tydzień później, w ramach kontynuacji tego żartu, dowiedziałem się, że to właśnie w tym ustrojstwie był zamontowany podsłuch w jednej z knajp.

I teraz nie wiem, czy ja jestem prowokator, czy prorok. Szczerze mówiąc, wolałbym zostać prorokiem, bo wtedy działałbym jak kino objazdowe i miałbym kasy jak lodu, a to wszystko dlatego, że ludzie chcą wiedzieć, co ich spotka w najbliższej przyszłości, czy zostali nagrani, czy nie, i w czyje łapy dostaną się wcześniej, czy policji czy szantażystów, co właściwie i tak wychodzi na to samo. Mój przyjaciel Tomek – znający się na prawie i na biznesie – mówi, że w razie czego lepiej przyznać się stróżowi prawa, bo to mniej kosztuje.

To tak jak w tym żarcie, w którym mąż wraca do domu i żona, czając się w ciemnościach, żeby go zaskoczyć podwójnie, krzyczy:

– Znowu zadawałeś się z dziwkami!!! Widzę, że masz pełno szminki na twarzy!!!

– To nie szminka, to krew!!! Samochód mnie potracił!!!

– No!!! To dzisiaj masz szczęście!!!

KWIECIEŃ 2015

MAM WRAŻENIE,
ŻE WROG PODSŁUCHUJE



BOHDANOWICZ

JULIAN

Zastanawiałem się, o czym napisać do październikowego numeru. Tematów jest sporo, bo kampania wyborcza w pełnym rozpędzie, dzięki której wszystkie dzieci będą syte, emeryci młodzi i bogaci, i na dodatek objadający się lekarstwami za darmo. Państwo będzie kierowane przez Kościół, ale w dalszym ciągu świeckie. Nasi emigranci wrócą, żeby pomóc prezydentowi Dudzie, mimo że prosił, by nie wracali. Uchodźcy przejeżdżający przez nasz kraj do Niemiec, żeby nie drażnić nikogo, będą wiezieni takimi wagonami, jakimi nas zsyłano na Syberię. Na dodatek wpadłem na pomysł, skąd weźmiemy na to pieniądze. A od czego mamy „złoty pociąg”? Tu przesadziłem, niestety, bo jeszcze nie został odkopany, a już roszczą sobie do niego prawa Rosjanie, ponieważ chcą, żeby to była kolejna rekompensata za straty wojenne, Niemcy, którzy twierdzą, że należy do nich, bo go załadowali, i Światowy Kongres Żydów, który mówi, że wszystko, co jest na wagonach, należy do nich, bo nikt inny bogaty nie był. I jeżeli postulaty tych wszystkich państw zostaną spełnione, to zostaną nam tylko zwrotnice i kara za rozkopanie góry bez zezwolenia Unii Europejskiej.

Takie tematy chciałem poruszyć w tym wydaniu „Łowca Polskiego”, kiedy otrzymałem SMS o treści: „Drodzy przyjaciele i znajomi mojego taty. Chciałbym zawiadomić, że tata Julian Bohdanowicz zmarł dzisiaj w nocy”. Przez kilka godzin nie mogłem dojść do siebie.

Znaliśmy się od 1976 roku, od pierwszych Biesiad Humoru i Satyry odbywających się w Lidzbarku Warmińskim, na których pojawił się jako juror reprezentujący tygodnik satyryczny „Szpilki”, a ja startowałem jako

debiutant w fachu, który uprawiam do dzisiaj. Polubiliśmy się od pierwszego spojrzenia i pierwszego zdania, i tak to trwało przez prawie czterdzieści lat, bo za pół roku mielibyśmy okrągłą rocznicę. W tym czasie staliśmy się jedną z najbardziej nierozłącznych par współpracujących ze sobą. Julek zilustrował jedenaście moich książek, przez kilka lat pracowaliśmy dla miesięcznika „Sukces”, a potem odnaleźliśmy się w „Łowcu Polskim”. To, co mi w Julku pasowało, to humor, zawsze ciepluteńki, zresztą taki jak on sam, humor, którym nikogo nie ranił, nie obrażał. Świat zawarty w tych rysunkach też jawił się jako coś dobrego, nawet jeżeli taki nie jest.

Juleczku! Zdejmuję przed Tobą kapelusz i wiem, że w moim sercu będziesz żył wiecznie.

PAŹDZIERNIK 2015

MOWA ZWIERZĄT

Mówię od razu, że tytuł jest mylący, ponieważ nie będzie tu o relacjach między władzą a opozycją czy rządem a Trybunałem Konstytucyjnym. Nie, będzie o porozumiewaniu się ptaków i nie tylko tych pierzastych stworzonek.

Kilka lat temu zacząłem podejrzewać, że sikoreczki, które zimą nawiedzają nasz ogród, mają jakieś swoje „trzy, cztery”, ponieważ najprawdopodobniej na taką komendę spadały całym stadkiem na ośnieżoną gałąź, żeby dostać się do ziarenek, które potrzebne im były do przeżycia. Śnieg opadał, one wyjadały co trzeba i po chwili napadały na inną gałązkę. I wyglądało to na akcję wyjątkowo zorganizowaną.

Podobne zgranie wykazywały rybitwy, kiedy pływaliśmy po naszym ukochanym jeziorze Košno. Obserwowaliśmy między parą klasyczną małżeńską kłótnię. Jedna leciała milcząca, nie zbaczając z kursu, z wyraźnie zaciętym dziobem, a druga, kręcąc wokół tej posępnej piruety, darła się na całe jezioro w taki sposób, że nawet my na łódce żałowaliśmy, że nie mamy zatyczek do uszu. Nie wiedzieliśmy tylko, co zrobiła ta pierwsza – czy zalecała się do innej, czy przyniosła za mało rybek dla głodujących rybitwiątek, czy zapomniała o patykach potrzebnych do budowy gniazda. Jedno było pewne: obie wyglądały na trzeźwe.

Dlaczego o tym piszę? Ponieważ wyczytałem kilka dni temu, że przeprowadzono badania na sikorkach, z których wynika, że porozumiewają się one ze sobą całymi zdaniem. Wydają sobie polecenia i kiedy widzimy, że gromadka tych zielonobrzuszków nagle wzbija się w powietrze, żeby lecieć dalej, to było najprawdopodobniej na komendę. I jeżeli ktoś z nas został

przez nie zanieczyszczony, czy – mówiąc językiem bardziej ludzkim – obesrany, to być może też na rozkaz, bo nam się słusznie należało.

Stres to jest stres i dopada każdego, obojętnie, czy to jest facet wielkości trzydrzwiowej szafy, czy dziewczynka rozmiaru Calineczki, czy pies tęskniący na ganku za panem, czy kot, który od rana czuje się niedopieszczony.

Mamy w domu kotkę o imieniu Zaraza. Mówimy do niej Zarazka, żeby jej nie denerwować z powodu imienia, które, niestety, pasuje do niej jak ulał. I mamy kaczkę, które co roku w marcu odwiedzają nasze oczko wodne, żeby kumplować się z nami aż do lata. Dzień, w którym się pojawiają, jest dla nas pierwszym dniem wiosny. Tym razem stało się to 14 marca. Kaczki mają na imię Klemens i Adela. Pojawiły się, wzbudzając w domu entuzjazm, bo wiadomo, że już po zimie, więc od razu poleciliśmy je przywitać czerstwą bułeczką, bo świeża nie jest najlepsza na ich żołądeczki, i powiedzieliśmy Zarazce, żeby nie podchodziła do oczka, bo nam wystraszy gości (Zaraza ma piętnaście lat i swój rozum). Nie podeszła, ale co zrobiła, żeby się odstresować? Podniosła się i odeszła obrażona? Otóż nic z tych rzeczy. Wskoczyła na stół na tarasie, na którym stoi naturalnej wielkości plastikowy kruk, odganiający ptaki od okna, przywaliła mu z piąchy w dziób – w internecie byłby to hit roku – i poszła spać na psim barłogu.

Stres wykończy każdego. Ostatnio oglądałem teleturniej, gdzie obywatel na pytanie: „Jak się nazywa samica jelenia?” odpowiedział:

– Locha.

KWIECIEŃ 2016



KRWIOŻERCZE KLESZCZE

Skąd się te cholerne kleszcze biorą? Ilekroć idę do lasu, prawie zawsze wracam co najmniej z jednym, mimo że chodzę w spodniach ze ściągaczami i w bluzach takich samych. W mieszkaniu mam chyba wszystkie wynalazki, jakie spreparowali farmaceuci do zwalczania tej zarazy. Mosbito do przyklejania na ciało i na nogawki, spray do spryskiwania i ciała, i odzieży, na nadgarstku dynda specjalna obrączka, podobno wydzielająca odstraszącą woń i „bardzo skutecznie chroniąca przed wszelkimi insektami”. Do tego jeszcze używam Frontline’u, który jeżeli chroni psy i koty, to powinien i mnie.

Gdy wychodzę z domu na grzyby lub jagody, wyglądam jak facet, który sam siebie umieścił w obozie koncentracyjnym, odrutowany zasiekami ze wszystkich możliwych stron. Idę, odganiając się od komarów, którym – jak się okazuje – żaden dziwny zapach nie przeszkadza. Chcą się napić mojej krwi i zrobią wszystko, żeby to uczynić. To znaczy, jest coś, co te wredne owady odstrasza. To olejek waniliowy. I nawet bym się nim smarował, również od wewnątrz za pomocą budyniu i ciasta nasączonego tym aromatem, ale z kolei wyczytałem w jakiejś gazecie, że wanilia zwabia kleszcze. Bóg jeden raczy wiedzieć, dlaczego ten zapach powoduje, że te mikroskopijne, krwiożercze bestie ze swoimi ogromnymi paszczami, a może nawet i mordami, zakochały się w tym zapachu, i teraz nie wiem, czym się skutecznie złać, żeby bezpiecznie chodzić po moich ulubionych zagajnikach.

A złapać boreliozę albo odkleszczowe zapalenie opon mózgowych to jest dopiero zgroza. Antybiotyki, które dostaje się, żeby wyleczyć to paskudztwo,

powodują, że nawet słoń się siania na nogach, a co dopiero taka kruszynka jak ja, wagi około stu kilogramów. Brałem takie antybiotyki, to wiem. A co się stanie, jeśli nie daj Boże zlekceważy się taki rumień albo, będąc człowiekiem nieświadomym, nie przejmie się czerwoną otoczką powiększającą się do kilkucentymetrowej średnicy? Wtedy możemy mieć wszystko, od reumatyzmu poczynając, na sklerozie kończąc.

Ponieważ mój wydawca prosił, żeby ten zbiorek felietonów i opowiadań skończyć w sposób łagodny, albo wręcz optymistyczny, a dodatkowo wiem, jaka grupa wiekowa mnie najchętniej czyta, zakończę takim oto dowcipem, który ostatnio usłyszałem.

Rzecz się dzieje w klubie seniora i trwa dyskusja o przypadłościach, jakie dopadły rozmawiających.

– Wiecie – mówi pierwszy – ja mam takie słabe ręce, że ledwie utrzymuję w nich tę filiżankę herbaty.

– Ja z kolei mam taki słaby wzrok, że ledwie widzę tę szklanę.

– I ja też. I nawet nie widziałem, na kogo głosuję w ostatnich wyborach.

– To akurat dotknęło i tych z dobrym wzrokiem.

– Co dotknęło? Bo nie dosłyszałem?! – odezwał się czwarty.

– On mówi, że dotknął mnie reumatyzm i dlatego nie mogę się do was odwrócić – mówi piąty, siedzący do wszystkich tyłem.

– A ja w ogóle nie wiem, o czym mówicie, bo mam już taką sklerozę, że nie pamiętam, gdzie teraz jestem. No, ale mimo wszystko nie jest z nami znowu aż tak źle.

– Dlaczego? – zapytał ten czwarty.

– Bo jeszcze mamy prawa jazdy.

PS

To jest żart, ale niecały rok temu miałem telefon. Podnoszę słuchawkę i słyszę z drugiej strony:

– Panie Krzysiu, dzwonię z klubu seniora na... (tu padła nazwa, której

przez grzeczność nie podam). Dzwonię z nietypowym pytaniem.

– Tak?

– Pan u nas w tym miesiącu występuje?!

– Tak.

– A czy mógłby nam pan przypomnieć, którego dnia?!

CZERWIEC 2016

